

ZOFJA KOWALEWSKA.

OBRAZKI MIŃSKIE

1850 — 1863.



NAKŁAD KSIĘGARNI JÓZEFA ZAWADZKIEGO w WILNIE.

—
1912.

I.

Zjazd kolegów szkolnych, tych, co ukończyli gimnazjum mińskie przed 1863 rokiem, — jaki się odbył we wrześniu 1911 r. w Mińsku i jaki ma się powtórzyć w bieżącym 1912 r., nasuwa mi myśl, iż garść wspomnień, jak szkolnych, tak i społeczno-obyczajowych z owej przedpowstaniowej epoki, nie będzie bez interesu i dla weteranów, żyjących jeszcze świadków owych czasów i dla młodszego ogółu czytelników. Rozdmuchując przygasłe popioły, rozbudzi w pierwszych wizję młodości, a da drugim pewne wyobrażenie o życiu dawnego Mińska przed 40 laty, tak się charakterystycznie różniącym od dzisiejszego.

Materiału do „Obrazków“ dostarczyły mi pamiętniki, rodzaj domowego Silva-Rerum, Ferdynanda Szablowskiego, ówczesnego nauczyciela gimnazjum, oraz urzędowe dane, zaczerpnięte z archiwów szkolnych, notaty i wspomnienia rodzinne i opowiadania tych, co wówczas żyli, udział w wypadkach brali i pomimo sędziwego wieku, zdolali je świeżo przechować w pamięci.

Nadają one żywszy koloryt Obrazkom i wlewają w nie więcej życia, niż z pożółkłych kart notat i pamiętników wydobyć można.

Zofja Kowalewska.

Obrazki Mińskie z ubiegłego stulecia.

Chcąc uprzytomnić sobie ówczesne życie szkolne, które pamiętnik Szablowskiego w okresie lat ostatnich, od 1851 do połowy 1863 obejmuje, — musimy cofnąć się znacznie wstecz i przejrzeć wszystkie fazy, przez jakie gimnazjum przechodziło.

Geneza jego sięga XVII wieku. Powstało ono bowiem, jak urzędowe źródła świadczą, na gruzach pierwszej szkoły w Mińsku, jaką założyli Jezuici w 1641 r. Szkoła pod kierunkiem świątłych ojców istniała 162 lata i dopiero w 1773 r., zamieniona na świecką, przeszła w zawiadywanie Narodowej Komisji Edukacyjnej, pod nazwą Szkoły Wydziałowej, zachowująca w początkach swój dawny typ i charakter, oraz swych dawnych instruktorów, eks-jezuitów, pozostałych na miejscu, po kasacie Zakonu. Na czele szkoły stał podówczas ks. Obrąpalski, kanonik smoleński.

Ciągłe wstrząśnienia polityczne dozwoliły Komisji Edukacyjnej wprowadzić dopiero w 1783 r. zamierzone reformy szkolne. Uskutecznił to w Mińsku jej członek, ks. Pilichowski. Świecki element wszedł poraz pierwszy

do szkoły w 1789 r. w osobach nauczycieli: Jurewicza i Jaworskiego. Lecz zaledwie pewien system naukowy zaczął się w wydziałowej szkole rozwijać, gdy drugi rozbiór kraju, rzucając województwo mińskie pod władzę Katarzyny II, — znów w nową fazę szkołę wtrącił. Przeszła ona podówczas w zawiadywanie „Prykazu obszczestwiennago proswieszczenia”, stanowiącego podówczas rodzaj ministerjum oświaty, zachowując jednak ustawę Komisji Edukacyjnej, która przetrwała do 1825 r. W r. 1799 ukazał się w szkole pierwszy nauczyciel języka rosyjskiego, niejaki Zacharzewski, eks-wojak.

Pod zarządem jednak „Prykazu”, szkoła wkrótce się rozprzegła i blizką była upadku. Pierwszy gubernator miński z ręki Katarzyny, Karejew, wizytując szkołę w 1801 r., tak o niej zdaje raport: „Uczą tam wprawdzie wielu rzeczy, ale uczniowie nic nie umieją”.

W r. 1802 szkoła mińska, mieszcząca się wciąż w byłych pojezuickich murach, przy ulicy Kołdanowskiej, wcielona została do świeżo utworzonego wileńskiego Okręgu naukowego, pod nazwą gimnazjum mińskiego. Pierwszym jej dyrektorem, po zniesieniu byłego rektorstwa, został niejaki Cejs, który w dziejach szkolnych bardzo się dobrze wspomina.

W rok później, najwyższy ukaz z dn. 4 kwietnia 1803 r., oddał mińskie gimnazjum w zawiadywanie uniwersytetu wileńskiego, pod opiekunictwem skrzydłem którego przetrwało do 1831 r.

Periód ten stanowi świetlaną erę w historii szkolnictwa krajowego. Zaraz po objęciu mińskiego gimnazjum w opiekę, zwiedził je rektor uniwersytetu ks. Michał Poczubutt-Odlanicki i w serdecznej przemowie do dyrekcji i nauczycieli, zachęcał do wspólnej, gorliwej

pracy nad kształceniem młodzieży. Aż do śmierci też Cejsa, najlepszy stosunek łączył uniwersytet z gimnazjum, do którego w 1804 r. wprowadzoną została odświeżona Ustawa Komisji Edukacyjnej, opracowana przez ks. rektora Strojnowskiego. Ogromne też znaczenia miały rewizje wizytatorów, wybieranych każdorocznie przez zarząd uniwersytecki, a po zatwierdzeniu przez ministerjum oświaty, wysyłanych na miejsce, do szkół, dla sprawdzenia postępu w naukach i rozwoju młodzieży. Wizytatorowie badając stan rzeczy, wnukali we wszystkie szczegóły i zaradzali im, wedle potrzeby, zapisując dla dyrekcji i nauczycieli uwagi swe w specjalnej księdze, zwanej Księgą Uwag, która wraz z aktami „Domowych obrad” z czasów Komisji Edukacyjnej, do dziś dnia się przechowuje.

Księga Uwag zawierać ma dużo cennych źródeł pedagogicznych poglądów. Wizytacje gimnazjum mińskiego, rozpoczęte w 1804 r., trwały rok rocznie do 1826, w którym się urwały zupełnie. Zrazu wizytatorowie byli tylko duchowni profesorowie uniwersytetu, lecz od r. 1812 zastąpił ich element świecki. Pierwszym wizytatorem gimnazjum mińskiego był zasłużony profesor, prałat Tadeusz Kundzicz, ostatnim — profesor Jan Berkman.

Szkoła mińska rozwijała się świetnie, pod kierunkiem światłych pedagogów, kształcących się w specjalnym zakładzie w Wilnie, a podlegających ścisłemu nadzorowi i egzaminom władzy uniwersyteckiej, jak pod względem wiedzy, tak i moralności. Większość, kończąc nauki, otrzymywała stopnie magistrów lub doktorów. Wysyłani do szkół na prowincję, musieli przystosowywać się do instrukcji dla nauczycieli, opracowanej

przez Komisję Edukacyjną, a mogącej służyć dziś jeszcze za wzór dla wszystkich pedagogów.

Tak stały rzeczy, gdy w 1821 r. zmarł dyrektor Cejs. Władze administracyjne wnet na to miejsce wyznaczyły do Mińska niejakiego Konorowskiego, wbrew Ustawie, na zasadzie której dyrektor musiał być obieralny przez Radę Uniwersytecką.

Było to pierwsze naruszenie ustawy, po którym nastąpiły inne.

W owej chwili liczba uczniów w mińskim gimnazjum wynosiła 320. W tem katolików było 287, unitów 10, prawosławnych 15 i ewangelików 9.

Wedle zaś stanów—302 dzieci szlachty, 7 mieszczan, 1 syn parocha i 10 urzędników. Taki był ówczesny skład uczniów, gdy działalność nowego dyrektora Konorowskiego zaznaczyła się chęcią wprowadzenia języka urzędowego do korespondencji i do szkoły. Że zaś to było wbrew Ustawie, więc się Uniwersytet długo temu opierał. Oficjalnie jednak wykłady języka rosyjskiego weszły do gimnazjum mińskiego w 1825 r.

Odtąd zgrzyty były coraz częstsze, a opieka Uniwersytetu nad szkołami słabła stale, paraliżowana innemi rozporządzeniami. Do 19 grudnia 1830 r. władza uniwersytecka rozesłała jeszcze odezwę do dyrekcji szkół, zalecając ścisły nad uczniami dozór. Było to ostatnie jej echo.

Dn. 21 lutego 1831 r. mińskie gimnazjum oddane zostało w zawiadywanie Białoruskiego Okręgu Naukowego.

II.

Zanim przystąpimy do dziejów szkoły po 1831 r., musimy raz jeszcze cofnąć się wstecz i rzucić okiem na rok 1812, którego właśnie setną obchodzimy rocznicę. Rok ów, nigdy niezapomniany, wstrząsając całym krajem, zostawił w mińskiej szkole pewne po sobie ślady. Zbudzenie w pamięci tej wiekowej przeszłości, nie będzie może bez interesu dla tych, co się w tej szkole kształcili i dziś się jeszcze kształcą.

Wojska francuskie przeszły już Niemen, gdy profesor Jan Reszke wysłany został przez uniwersytet do Mińska, dla wizytacji szkoły. Nie ukończył jednak swego obowiązku, gdy dnia 25 czerwca dano znać o zbliżaniu się francuzów do Mińska. Zajęcia więc szkolne zostały zawieszone, uczniowie zwolnieni, a wizytator, wraz z całym pedagogicznym ciałem, pośpieszył wziąć udział w uroczystym przyjęciu francuzów przez miasto. Do Mińska wszedł marszałek Davoust i obejmując miasto w posiadanie, wnet doń Napoleonowskie rzędy wprowadził. Piękne, błyszczące pułki, stanowiące część wielkiej armji, zajęły miasto. Dla rozkwaterowania żołnierzy opróżnione zostały wszystkie większe lokale, a w ich liczbie i gmach szkolny, z którego jak biblioteka, tak i wszelkie inne przedmioty, przeniesione zostały do piwnic.

Jak wiadomo, w r. 1812 w społeczeństwie polskiem na Litwie, panowało pewne rozdzielenie uczuć i przekonań. Część panów polskich, zwłaszcza w Mińszczyźnie, widziała zbawienie kraju jedynie w zbliżeniu z Rosją. Wielu wybitnych magnatów i ziemian miejscowych, jak ks. Ogiński, Wawrzecki, Rokicki i inni, zaraz po wkroczeniu Napoleona do kraju, ostentacyjnie wyjechało do

Petersburga lub się usunęło od udziału w życiu politycznym, gdy inni znów, pełni wiary w Mocarza zachodu, gotowi byli na największe dla niego ofiary. Z mniejszych dworów zwłaszcza rozentuzjasmowana szlachta dość ochoczo się zaciągała w szeregi Napoleona.

Marszałek Davoust pobudzał do tego gorliwie. Ustanowiwszy tymczasowy rząd w Mińsku, gubernatorem którego został jen. Bronikowski, — rozrzucał liczne odezwy i proklamacje, mające na celu wywołać ruch powstaniowy w kraju. Zapowiadając błogą przyszłość, zwrócił się również i do dyrektora gimnazjum Cejsa, z zapewnieniem, iż Cesarz Napoleon, jako protektor nauki, gorliwie się kwestją szkolną opiekować będzie. Odezwy tej treści rozesłano do wszystkich szkół powiatowych.

Atoli, pomimo tych odezw, społeczeństwo polskie zachowywało się wyczekująco i żaden się większy ruch nie budził.

Dn. 16 lipca Marszałek Davoust opuścił miasto, ciągnąc pod Smoleńsk, a 19, po uroczystem nabożeństwie w Katedrze, wobec władz cywilnych i wojskowych, biskup Dederko w gorących słowach zachęcał z ambony zebranych do zawiazania Konfederacji mińskiej, w celu łączenia się pod sztandarem Napoleona. Po nim ks. kanonik Żyliński, kapelan szkolny, zagrzewał obecnych do naśladowania Ks. Warszawskiego i innych skonfederowanych już prowincji. Dopiero wówczas wezbrały wszystkie serca i z piersi huknęły okrzyki na cześć Napoleona. Zaraz też cała szlachta przystąpiła do Konfederacji i akt jej podpisała w domu gubernatora, gdzie się wszyscy wraz z biskupem udali. Tak więc „akces“ miński, jak wówczas mówiono, został dokona-

ny. Wkrótce skonfederowało się i całe województwo. Konkretne jednak czyny w dalszym ciągu nie nastąpiły. Wśród gorączkowego, pełnego wciąż nowych wrażeń życia, ludziska chodzili jak pijani, śniąc o wielkiem powstaniu i powrocie do dawnej niezależności. Ale oprócz zaciągania się jednostek szlacheckich w szeregi ułanów i kawalerji polskiej, — żaden ruch ogólniejszej natury nie zaznaczył się wcale.

W Mińsku poczęła wychodzić: Tymczasowa Gazeta Mińska, z tekstem polskim i francuskim.

Ciekawe egzemplarze tego krótkotrwałego pisma nie przechowały się, niestety, w żadnym domu polskim. Zdobył je jednak, może z archiwów miejskich, p. Kołodziejew, jeden z nowszych właścicieli ziemskich z pod Borysowa, zbieracz pamiątek z 1812 r., które wraz z „Gazetą Mińską“ odesłał w stuletnią rocznicę do muzeum Napoleońskiego w Moskwie. Ostatnie wiec echa mińskie z owej epoki, uwieczne w papierze, — dotknęły się z kraju.

Wśród nowych warunków i nowej administracji, płynęło gorączkowe, niespokojne życie. Czekano Zmartwychwstania...

Sparte w piersiach a wciąż podsycane uczucia, wybuchaly w manifestacjach dnia 15 sierpnia, w którym Mińsk, jak wiele innych miast na Litwie, obchodził uroczystościę dzień imienin czy też urodzin Napoleona.

Bito więc od rana we dzwony, odprawiano nabożeństwa, nie szczędzono okrzyków w cześć Cesarza Francji. Władze cywilne i wojenne, wraz z komendantem miasta, Rosiczem, asystowały tym uroczystościom. Na dzisiejszym placu Katedralnym ustawiono pomnik

z popiersiem Cesarza, a plac nazwano: placem Napoleona.

Miejscowi poeci uświęcili dzień ten wielu rymami okolicznościowymi, a prezydent Chodźko ułożył na scenę utwor, pod tytułem: Oswobodzenie Litwy, — odegrany przez grupę amatorów oraz samego autora z wielkiem powodzeniem. Wieczorem wspaniała iluminacja oblała miasto jasną łuną. Żydzi, wrogo ku francuzom usposobieni, zachowywali się biernie, ale tatarzy mińscy wyrazili swą solidarność z ogółem polskim.

Dzień 15 listopada był, niestety, ostatnim niemal wybuchem zapału i nadziei... Wkrótce horyzont polityczny zaczął się mącić i ciemnymi okrywać chmurami. Z biegiem jesieni rosnący niepokój począł ogarniać francuskie władze w Mińsku.

Po wakacjach dyrektor Cejs zwrócił się do komendanta miasta Rozier, prosząc o opróżnienie gmachu szkolnego. Ten jednak obrócony został na lazaret. Komendant wskazał Cejsowi tak zwany Dom Zielony, gdzie pułkownik Rokicki rozlokował swych strzelców. Po ich usunięciu Dom Zielony przy ulicy Felicjańskiej zajęty został na szkołę. Lekcje rozpoczęły się we wrześniu, lecz zaledwie 167 uczniów znalazło się w klasach. Liczba ta wkrótce spadła do 56, gdyż w miarę nadchodzących wieści o odwrocie z Moskwy, rodzice zabierali działkę do domu.

Zaledwie echa katastrofy Berezynskiej dobiegały do miasta, gdy już rozbitki z pod Studzianki, ranni, chorzy, przemarzli, zaczęli przez wszystkie bramy napływać do Mińska. Wkrótce szpitale i lazarety pomieścić ich nie mogły. Wielu nieszczęśliwych ginęło z mrozu i wyczerpania na ulicach. Śnieżycą nocną zasypywała ciała zmar-

łych, śmiertelność w lazaretach była tak wielka, iż brakło czasu na grzebanie trupów. W dawnym gmachu szkolnym, przy ulicy Kojdanowskiej, przepełnionym chorymi, tak wiele codzień było trupów, iż je prosto z góry zrzucali do piwnic, przez otwór wybity w murze. Ponieważ wielu francuzów zmierało na ulicy, zabójcze wonie unosiły się w powietrzu. Wiosną 1813 r., gdy śniegi stały, w każdym niemal kącie znajdowano rozkładające się ciała ludzkie. Z piwnicy gmachu szkolnego wydobyto kilkadziesiąt trupów.

Tak się zakończyła w Mińsku epopeja Napoleońska. Zgruchotane i zmiażdżone uczucia i nadzieje ogółu, podającego się budzącej wśród społeczeństwa reakcji, układały się zmartwiałe w grobie duszy, oczekując nowej chwili zmartwychwstania.

Bieg życia powoli wracał na realniejsze tory.

Restauracja dawnej szkoły była z wielu względów niemożliwą. Przeniesiono ją z ciasnego Zielonego Domu do kamienicy na Wysokim-Rynku, tam, gdzie się mieści Sąd Okręgowy. Z trudnością zdołano uporządkować bibliotekę szkolną, liczącą 6000 tomów, przeważnie dzieł łacińskich filozoficznych i teologicznych, stanowiących spuściznę po Jezuitach. Polskich wyćwinków było zaledwie 300 tomów. Dział ten jednak zasilił wkrótce Melchior Wołodkowicz, ofiarowując bibliotecę szkolnej kilkaset tomów dzieł naukowych polskich. Gdy w 1814 r. Cesarz Aleksander I, jadąc do Wiednia, zatrzymał się w Mińsku, wśród również wspaniałej, jak przed paru laty, iluminacji, błyszczał już transparent z następującym napisem:

„Bóg aby klęski ziemi znękanej odwrócił,
W Imieniu Aleksandra szczęście miastu wrócił“.

Wracając znów do dziejów szkoły, zaznaczyć trzeba jej zupełną po 1831 r. reformę. Język polski został usunięty zupełnie z wykładów. Po ustąpieniu jednak nauczycieli polaków, niewładających językiem urzędowym, trudność w wynalezieniu stosownych pedagogów stworzyła nader poważną kwestję. Tymczasem po skasowaniu szkół Bazylijskich, Pijarskich, Dominikańskich i Bernardyńskich, napływ uczniów do gimnazjum znacznie się zwiększył. Lekcje zaś, wskutek nieudolności nowych pedagogów, szły jak po grudzie. Po kilkuletnich więc niefortunnych próbach przywołano stary nauczycielski personel, z warunkiem wykładu przedmiotów w języku rosyjskim, na co wielu starych nauczycieli się zgodziło i obejmując dawne stanowiska, łamaną mową wykladało lekcje. Klasy były przepelnione, licząc po 100 i więcej uczniów. Z dawnych tradycji pedagogicznych utrzymało się jedynie prawo przyjmowania uczniów do szkoły, na mocy prywatnego świadectwa nauczyciela, bez poddawania się ogólnemu egzaminowi. Lata pobytu w jednej klasie nie miały ograniczeń. Można było przesiadywać w nich jak najdłużej. Nieraz w II i III klasie spotykało się młodzieńców pod wąsem, po lat 20 liczących.

Kwatery uczniowskie były nader tanie. Za stancję z utrzymaniem płacono 35 do 40 rb. rocznie, to jest tyle, ile się dziś płaci miesięcznie. Korepetycja była też bardzo słabo opłacana. Cena zwykła wynosiła za godzinę lekcji dziennie — jednego rubla miesięcznie.

W r. 1835, w czasie pożaru kościoła Bazylijskiego, na miejscu którego stoi dziś sobór, płomienie objęły i szkołę na Wysokim-Rynku. Inwentarz szkolny zdołano wynieść. Tylko biblioteka rosyjska stała się pastwą

ognia. Szkoła przeniesioną wówczas została do kamienicy Izraela przy Zborowej ulicy. Niewygodny ten lokal zmusił władze szkolne do starań o dom własny. W r. 1841 nabyty został w tym celu plac przy ulicy Franciszkańskiej, gdzie dziś mieści się gimnazjum, za 4,800 rb. W roku następnym, gdy na budowę szkoły wyasygnowano sumę 22,000 rb., nastąpiło uroczyste założenie kamienia węgielnego, przy udziale wszystkich dygnitarzy miasta i liczego ziemiaństwa, wracającego po 1831 r. do dawnego wpływu i znaczenia. Wówczas to postanowiło ono założyć przy szkole własnym kosztem internat, w rodzaju pensji, dla dzieci szlachty. Ofiary i zapisy posypały się tak hojnie, zwłaszcza ze strony marszałka Horwatha, Jodki, Biskupa Rawy i innych, iż wnet się zebrał znaczny kapitał, znany następnie pod nazwą „funduszu szlacheckiego“.

III.

Dziewięcioletni okres czasu od 1831 do 1840 r. przedstawia jedną z ciemnych kart w dziejach gimnazjum mińskiego. Ale od owego czasu horyzont zaczyna się wyjaśniać nieco i bieg nauki do bardziej normalnego wraca koryta. Od r. 1838 dodatni wpływ na szkołę wywierają honorowi kuratorowie, wybierani z łona ziemiaństwa i nad uczącą się młodzieżą po ojcowsku czuwający. Pierwszym kuratorem w Mińsku był Tyzenhaus do 1848 r., potem Eustachy hr. Tyszkiewicz do 1854, następnie Michał Pawlikowski do 1856 i wreszcie marszałek Tomasz Narkiewicz-Jodko do 1863.

Nowy gmach szkolny wraz z pensjonatem szlacheckim, stanął za czasów pierwszego kuratora w 1846 r. w

tem miejscu, gdzie i dziś istnieje gimnazjum klasyczne. Pensjonat, mieszczący się w tychże murach, miał oddzielne wejście od ulicy, a ze szkołą połączony był obszernym korytarzem. Obliczony zrazu na 60 uczniów, mieścił następnie znacznie więcej. Urządzony był nader wygodnie, z pewnym nawet komfortem. Posiadał obszerne sypialnie, szatnie, umywalnie oraz sale—jadalną, naukową i rekreacyjną.

Złożony przez ziemiaństwowo fundusz nie tylko pokrył wszystkie wydatki, lecz wytworzył jeszcze stypendjalny kapitał w sumie 21.848 rb. Zwykle też siedmiu stypendjatorów utrzymywało się w zakładzie. Musiały to być dzieci szlachty, wyznania katolickiego. Z biegiem czasu postąpiły nowe jeszcze legata stypendjalne, jak Walickiego, Rawy i kilku innych, tak, iż naogół przed 1863 r. fundusz szlachecki wynosił już 32.098 rb.

Odsetki od tej sumy pokrywały często deficyt pensjonatu, którego utrzymanie kosztowało więcej, niż opłaty uczniowskie dać mogły. Wchodzący do zakładu malec otrzymywał całą bieliznę, pościel, buty i ubranie mundurowe. Znajdował też wszelkie podręczniki naukowe i stół zdrowy, obfity i smaczny. Za to pełne utrzymanie opłata roczna wynosiła z początku 175, potem 200 rb. Uczeń obowiązany był wnieść do zakładu jedno nakrycie srebrne, to jest parę sztuców i łyżkę, oraz obrus i sześć serwet.

Wychowawcy zakładu otoczeni byli staranną opieką, jak kuratora, tak i inspekcji szkolnej. Mieli korepetycje i inne udogodnienia naukowe. W każdym oddziale dyżurował jeden z młodszych nauczycieli, przeważnie francuz lub Niemiec, dla wprawy w językach.

Za czasów Mikołaja I, szlachta, uważana za podpórę,



Hermut
nauczyciel języka niemieckiego



Łukasz
stróż gimnazjalny.

państwa, była najbardziej protegowaną. Więc też i jej działy, kształcąca się w instytucjach szlacheckich, miała wiele przywilejów i prerogatyw. Uczniowie klasy VII liczyli się już niejako na służbie rządowej: mieli rangę IV i prawo noszenia szpady i kapelusza stosowanego. Wychowawcy pensjonatu mińskiego ubierali się w szare kurtki, gdy ogół uczniów gimnazjum mińskiego nosił granatowe mundury, o czerwonych kołnierzach i dwóch rzędach błyszczących guzików. Tylko mundur gałowy, frak brązowy z galonami u kołnierza i jednym rzędem guzików, był obowiązkowy dla wszystkich.

Uczniowie w szarych kurtkach zajmowali na ławach szkolnych pierwsze miejsca, co budziło pewną zawiść u granatowych mundurów. Koledzy z pensjonatu podejrzewani też byli o większe względy, ba! nawet fawory władzy szkolnej i o lepsze zawsze w naukach atestacje.

Czy tak było w istocie, trudno dziś powiedzieć. Ochmistrem pensjonatu, czyli jego gospodarzem, był zrazu Koehl, potem zaś Walczewski z Buciek.

Stróże szkolni, Łukasz i Pawłuk, zamykali niejako komplet personelu służbowego. Łukasz, obsługujący paniczów, był przez nich zawsze lubiany, ale Pawłuk, jako egzekutor kar cielesnych, jeszcze podówczas egzystujących, nie miał uznania. Wspomnienie jego łączyło się zawsze z izbą przeznaczoną na plagi, oraz i pękiem różg, na widok których wzdrygały się młode dusze.

Nauka klasowa ciężką nie była. Personel nauczycielski sam w niej niezbyt silny, nie był też zbyt wymagający. Ale młodzież, nie przepracowana umysłowo, nie wynerwowana ciągłą trwogą o złe atestacje lub usunięcie ze szkoły, zdrowa fizycznie i swobodna moralnie, rozwijała się normalnie, wydając w przyszłości wielu

dzielnych obywateli kraju. Uczniowie, czując niedostatek podawanej sobie wiedzy, dopełniali ją w kółkach samokształcenia się, powstających już wśród młodzieży szkolnej. Wychowawcy pensjonatu mieli wiele swobody. Mogli odwiedzać w mieście krewnych i znajomych, uczęszczać na wieczory prywatne, na które, zwłaszcza lepsi tancerze, często byli wzywani. Nie zaniedbywano bowiem w zakładzie, w celu oglądy towarzyskiej, i lekcji tańców, zręczność w których stanowiła podówczas dobry patent w salonach.

Któż z żyjących jeszcze wychowawców pensjonatu nie przypomina sobie tańczących czwartków u marszałka Horwata i wtorków u marszałka Bogdaszewskiego. Wprawdzie, po tych zabawach, które acz się kończyły o północy, lekcje szwankowały, lecz się je nędzowało później. Nauczyciele, byli wyrozumiali, a egzamina kończyły się pomyślnie.

Ulubionem też miejscem zebrań uczniowskich była cukiernia Dewacego, mieszcząca się w domu Pawlikowskiego, później Kistera, na Wysokim-Rynku. Posiadała ona, specjalnie dla młodzieży, pokój w oddzielnej oficynie, w którym się, przy słodyczach, odbywały wesole koleżeńskie biesiady, rozlegały swobodne śmiechy i tworzyły plany na przyszłość. Czasem pokój ten służył za miejsce poważniejszych narad i śmiech zamieniał się w szept cichy.

Nie jeden z dzisiejszych weteranów, ze łą w oku, owe chwile młodości wspomina. Pensjonat szlachecki zamknięty został w 1862 r. po 17 latach istnienia. Przesuwali się przezeń synowie najprzedniejszego ziemiaństwa Mińszczyzny. Większość tych, których następnie burza krajowa złamała, rozbila lub wyrzuciła z kraju...



Żbikowski
nauczyciel.



Mrajski
nauczyciel chemii.

Pamięć jednak tej instytucji przechowuje się, jak miły sen młodości, w zoranych wiekiem czołach i głowach okrytych siwizną...

W owych czasach, gdy powstał pensjonat szlachecki, dyrektorem gimnazjum był zrazu Fiszer, człowiek dość liberalnych poglądów. Zamienił go następnie Deśnicki, wytrawny elegant, zimny i przebiegły, nie lubiany przez uczniów i nauczycieli. Potem był Belli, osobistość błada, a w ostatnich przedpowstaniowych czasach, miejsce dyrektora zajmował Kandydow.

Rolę inspektorów pełnili przeważnie polacy, a więc zrazu Czyżyk, potem Herman, Hołowiński, a wreszcie Straszyński.

W skład personelu nauczycielskiego wchodził, oprócz kapelana, którym był zrazu ks. Terajewicz, a potem ks. Nowicki, następujący pedagogowie: Szablowski, zamilowany w swym zawodzie, wykładający geografję, Katański, a potem Szejbe — historję; Rodziewicz, uczący doskonale arytmetyki, którego zastąpił Gan, Hrynkiwicz, mówiący mieszanym językiem polsko-rosyjskim, wykładający matematykę, której w innych klasach udzielał również Żbikowski; Rızański, uczący łaciny, której sam nie umiał, pamiętny wielką względnością dla uczniów, w czasie egzaminów, które ułatwiał, wklejając do książki gotowe tłómaczenia ustępów z Wirgiljusza; Dołmatow, wykładający literaturę rosyjską; Wasiljew — język rosyjski, Mrajski — chemję, Szmel, a potem Hermuth — język niemiecki; Jacquot — francuski, którego uczył również z lepszym pono skutkiem i polak Burzymowski.

W liczbie nauczycieli, skład których, z biegiem lat, ulegał zmianie, byli jeszcze w pierwszym okresie Bogo-

jawieński i Hrebienszczykow, a potem, w latach pięćdziesiątych — Moszczeński, Żyźniewski, Barszczewski i Ostromecki.

Gdy w połowie piątego dziesiątka lat wieku zeszłego przywrócone zostały wykłady języka polskiego, nauczycielem jego został Florjan Czepieliński, znany autor gramatyki polskiej.

Lekarzem gimnazjalnym był d-r Jan Moszczeński.

IV.

Tak tedy, po wielu łamaniach się i ciężkich przejściach, życie gimnazjalne w nowym gmachu szkolnym ustalać się i z pewną korzyścią naukową płynąć zaczynało, gdy 1848 rok, wywołując ferment wśród młodzieży klas wyższych, na nowe je próby i wstrząśnienia wystawił. Rada szkolna wnet usunęła z gimnazjum dwóch uczniów — Masalskiego i Domanowskiego, uważanych za najbardziej niespokojne duchy i po odbytej, z rozkazu gubernatora, rewizji, skonfiskowawszy u uczniów znalezione książki, była już o szkołę spokojną, gdy zdrada ucznia Płońskiego nową a silniejszą wywołała burzę. Płoński należał do organizacji wileńskiej i będąc wtaємniczony w jej działalność przez Pawła Wejfertę, ucznia gimnazjum wileńskiego, lekkomyślnie wyśpiewał wszystko. Zakolowało i w Mińsku i Wilmie. Po surowem śledztwie posypały się srogie na młodzież kary. Paru uczniów wywieziono z kraju. Na innych spadły różgi od 25 do 100. W kategorii najczęściej ukaranych w Mińsku, znajdowali się: Edward Dawids, Ignacy Hrehorowicz, Mieczysław Adamowicz, Józef Mizgier, Władysław Borzobohaty i Ferment Kosowski.



Hryniewicz
nauczyciel matematyki.



Szejbe
nauczyciel historii.

Liczba wszystkich skazanych wynosiła przeszło 60. Na egzekucję przybył gubernator w asystencji innych przedstawicieli władzy. W pełnym też komplecie zebrana była cała dyrekcja szkolna. Uczniom, nie podlegającym karze, nie wyłączając klas najmłodszych, kazano stanąć w szeregach i przypatrywać się egzekucji, do wykonania której powołani byli żołnierze. Ale gubernator Doppelmeyer, dobry i łagodny staruszek, może przez litość nad chłopcami, żołnierzy usunął, na zasadzie, iż sprawy szkolne — szkolnemi też siłami załatwiane być muszą. Drżąc więc nieco ręka stróża Pawluka wszystkim wymierzyła naznaczoną karę. Kilku uczniów z klas niższych, stojących w szeregach, zemdlało.

Na tem się jednak wszystko skończyło, nie pociągając w Mińsku groźniejszych następstw. Jenerał-gubernator Bibikow rozkazał władzy szkolnej mieć baczniejszy nad uczniami nadzór, wpajać silniej przywiązanie do tronu. Zaledwie jednak ta sprawa ucichła, gdy w pensjonacie szlacheckim nowy się podniósł alarm. Nagle zginął portret Cesarza. Szczątki jego znalazły się na podwórzu i na trakcie za miastem. Energiczne i surowe śledztwo nie mogło wykryć sprawcy. Podejrzanie padło na ucznia Polańskiego, którego Rada szkolna usunęła z gimnazjum. Zaraz jednak jen.-gubernator Bibikow zawiadomił dyrektora, iż Polański z pod zarzutu uwolniony został. Ponieważ rzecz stała się w pensjonacie szlacheckim, całe ziemiaństwo, wraz z kuratorem, mocno tem było przejęte. Sprawa się zakończyła bez żadnych złych następstw, atoli wkrótce swawolni uczniowie inną urządzili historję. Oto w czasie wizyty archireja spadł grad kamieni w okna, tłukąc wszystkie szyby. Nowa więc sprawa i nowe śledztwo. Znów jed-

nak sprawców tej swawoli wykryć nie zdołano. Ofiarą jej jednak padł uczeń klasy I, Karol Szałaj, którego ktoś dostrzegł z kamieniem w ręku. Otrzymał więc różgi, ale pozostał w szkole.

W r. 1850 znowu się uspokoiły wszystkie umysły i atmosfera, jak w szkole, tak i w mieście, znacznie się wyjaśniała i żywszem tętnem zagrało życie. W owej to epoce, bo w r. 1851, wstąpił na katedrę szkolną Ferdynand Szablowski, jako nauczyciel geografii i swem miłym obejściem ujął serca uczniów, a pedagogiczną metodą wykładu przykuł ich uwagę. Uczniowie jego czasów znali geografję doskonale i bardzo „kochanego profesora“ cenili. Atoli nikt z nich nie wiedział, jak ciężkie koleje losu ten łagodny i dobroduszny „profesor“ przechodził. Tworzył on dziś nieistniejący typ nauczyciela i mógł śmiało o sobie powiedzieć: ani z soli, ani z roli, ale z tego, co mię boli — urostem. Pochodził z nader ubogiej szlacheckiej rodziny, wyrzucony na bruk miejski. Matka wdowa z ostatnich groszy kształciła synów w szkole. Niedostatek w domu był tak wielki, iż, gdy mały Ferdynand wracał z lekcji, zdarzało się często, iż nie znajdował wcale obiadu w domu. Biegł wówczas nad rzekę z wędką i przynosił matce ułowioną rybę, którą się żywiła cała rodzina. I już w dzieciństwie stał się jej opiekunem, pracując w nocy, a w dzień się ucząc i dając korepetycje, które z biegiem lat coraz się opłacały lepiej. One to pozwoliły mu ukończyć gimnazjum i dostać do uniwersytetu. Walcząc z nędzą, pełen żelaznej woli i wytrwałości, rozpoczął studia w Charkowie, lecz ukończył je w Moskwie, gdzie utrzymując się z lekcji, żyjąc o głodzie i chłódzie, zdołał jeszcze przyswoić sobie język francuski, który wówczas był bardziej, niż dziś ce-



Ferdynand Szablowski.

niony i w karierze nauczycielskiej, o której marzył Szablowski, wielkie miał znaczenie. Nie zbrakło mu też siły woli do kaligraficznego wykształcenia charakteru swego pisma, nad którym za młodo pracować nie miał czasu. Aż wreszcie, zdobywszy wiedzę, oraz to wszystko, co mu chleb i spokój zapewnić mogło, wrócił wyczerpany pracą i biedą do Mińska, gdzie przyjął pierwszą-lepszą posadę, jaka się mu zdarzyła. Został pisarzem w kancelarii gubernatora.

Po długiej walce z mędzą, znalazł tu spokój i pewność jutrzejszego obiadu. Czuł się niemal szczęśliwy. Los jednak przerzucił go wkrótce na odpowiedniejsze stanowisko.

Zdarzyło się, iż gubernator musiał dać komuś dyplomatyczną odpowiedź w języku francuskim. Zwrócił się więc do sekretarza, pytając, czy niema kogoś w kancelarii, znającego obce języki?

— Zkąd ta hołota znać je może! — odparł z niechęcią.

— Dowiedz się pan jednak, — rozkazał gubernator.

Spełniając rozkaz zwierzchnika, sekretarz wrócił do biura i zmierzwszy pogardliwym okiem pochylonych nad piórem kancelistów, powtórzył pytanie gubernatora.

Szablowski milczał skromnie, lecz zdradzony przez kolegów, przyznał się do znajomości francuskiego języka.

Sekretarz skinął niedowierzająco głową, lecz wytłomaczywszy o co rzecz idzie, kazał sporządzić brulon i przedstawić go gubernatorowi.

Gdy ten nań rzucił okiem, aż się porwał z krzesła, wołając:

— Skąd wśród pisarzy macie tak wykształconego człowieka?

A gdy sekretarz objaśnić nie umiał, kazał przywołać Szablowskiego do siebie i dowiedziawszy się o wszystkim, mianował go nauczycielem swych dzieci, a następnie wyjednał mu posadę w gimnazjum, którą zajmował do 1863 r., to jest do czasu, gdy burza krajowa cały polski element ze szkoły wymiotła. Wkrótce Szablowski zasłynął jako jeden z lepszych pedagogów. O jego lekcje poczęły się ubiegać pensje żeńskie, których Mińsk aż trzy naówczas posiadał. Jak nędzną była ówczesna płaca nauczycielska, świadczy fakt, iż pensje Parnikielowej i Montegrandich płaciły mu rocznie, za ośm godzin tygodniowo, 40 rs. Dopiero nieco później pensja Stefanowiczów podniosła cenę roczną do 100 rs. za siedem godzin w tygodniu. Rodzice zamożnych uczniów dobijali się również o korepetycje Szablowskiego, a władze szkolne mianowały go prefektem szkoły żydowskiej, w której wykładał język rosyjski, otrzymując za lekcje 250 rs. Mając tak zapewniony dobrobyt materialny, Szablowski ożenił się z Adelą Godaczewską, która mu rozpałała szczęśliwe ognisko domowe.

Nazwisko jej przypomina owego posła z ziemi trockiej na sejm grodzieński, owego Godaczewskiego, który należał do garstki tych 17-tu, co z żołądka obcych mocarstw korzystać nie chcieli, dbając jedynie o ratunek kraju... Może Adela z tej samej pochodziła rodziny.

Gdy po 1863 r. Szablowski musiał podać się do dymisji, środki życiowe, wobec licznej rodziny, okazały się tak słabe, iż dla chleba prywatnym nauczycielem został. Był zrazu u Oleszów w Pińszczyźnie, potem u Wańkowiczów w gub. grodzieńskiej. Wreszcie, wyczerpany



Burzymowski
nauczyciel języka francuskiego.



Emeryk Adamowicz
nauczyciel rysunków.

pracą wrócił do Mińska, gdzie sprzedawszy dom żony, przeniósł się z rodziną do Wilna i tam skołatane go dokonał żywota. Pamięć dobrego nauczyciela nie wygasła dotąd w sercach żyjących jeszcze jego uczniów, pomimo sędziwego już ich wieku.

V.

Z powodu urzędów honorowych i płatnych, jakie podówczas zajmowała szlachta, powoływana na nie przez ogólne wybory,—mnóstwo rodzin ziemiańskich mieszkło stale niemal w Mińsku, wnosząc doń większy ruch i życie i nadając mu pewien ton charakterystyczny. Rok 1831 nie zrobił w Mińszczyźnie szczerb wielkich... Szeregi ziemiańskie prawie nie nadwerężone, pełne jeszcze były siły, potęgi i blasku. Ogół posiadaczy nie znał prawie wartości swoich ziem i lasów. A że szlachta cieszyła się podówczas protekcją Monarszą w całym Państwie, więc i ziemiaństwo polskie, korzystając z wielu przywilejów swego stanu, rej wodziło w kraju.

Sejmiki elekcyjne, nazwą swą czepiające się jeszcze dawnych tradycji politycznych, przypadające raz na trzy lata, chociaż już mocno ograniczone, ściągały również do Mińska całe ziemiaństwo z gubernji i tętniały ogromnem ożywieniem. Organizm szlachecki, pełen jeszcze butnej energji, do wyladowania której nie miał już odpowiedniego pola, wylewał na sejmikach tę gorącą, spartą wewnątrz lawę i roztaczał tu zasoby sił swoich i blaski swej dogasającej potęgi. Atoli wówczas potęga ta zdawała się być jeszcze niewzruszoną...

Zemiaństwo zjeżdżało do miasta gwarno i szumnie, z liczną służbą, kuchnią i zapasami. Skromna mieścina

nie posiadała wówczas hoteli, a jej żydowskie zajazdy żadnych wygód dostarczyć gościom nie mogły. Ziemiaństwo zjeżdżało z całymi rodzinami, bo w czasie długotrwałych sejmików pełno było zabaw i ruchu. Zawiązywały się stosunki, kaptowali wyborcy, kojarzyły małżeństwa. Na ulicach krzyżowały się wspaniałe cugi i zaprzęgi, wymijały kolasy lub ładowne sanie. Sejmiki odbywały się w salach reutowych, na Wysokim-Rynku, w pobliżu Soboru, tam, gdzie dziś się mieści sklep Muchina, a gdzie w owe czasy lokowali się inni kupcy i handlarze ruscy, jak Rogow, Paluszkini, Diechtierow i t. d. Naprzeciw zaś, w kamienicy, stojącej oddzielnie na placu za Ratuszem, błyszczały najwspanialsze podówczas sklepy żydowskie. Wysoki-Rynek stanowił w owe czasy centr miasta i tam się cały handel skupiał. Kramiki żydowskie obsiadywały, tak jak i dziś, całą tę kamienicę dokoła, którą obszedłszy, we wszelki się można było zaopatrzyć towar. I dziś się w niej tuli sklepikarski handel, dla mniej wybrednej jednak przeznaczony publiczności. Zamożniejsze sklepy wyemigrowały stopniowo na Franciszkańską i Zacharzewską ulicę, ale w owej epoce wszystko się na Wysokim-Rynku mieściło. Gdy więc przed sale reutowe zajeżdżały pyszne zaprzęgi, wylegali na ich spotkanie nisko się kłaniając z jednej strony kupcy ruscy, z drugiej — żydowscy.

Szlachta zaglądała tu i tam. Handel szedł i tętniał życiem. Moneta przesypywała się z rąk do rąk.

Wieczorami sale reutowe gorzały od światła. Jasna luna biła z okien na ulicę, na którą wylewały się też echa tanecznej orkiestry, tonąc w grzmocie zajeżdżających powozów, tętentie koni, oraz okrzykach stangretów i lokai.

Dziś, gdy szczerza wesołość zanikła, wszystkie zabawy wyglądają blade wobec dawnej ochoty ojców i matek naszych, tryskających pełnią życia i humoru.

Ileż tam było ognia i w tańcu i w uczuciach!.. Szlachta się bawiła!.. aż wszystko się przepaściło i w popiół zmieniło...

Mieszkało więc podówczas spono ziemiaństwa w Mińsku, między którym wybitny dom stanowili: marszałkostwo Ottonowie Horwathowie. Rodzina Horwatha pochodziła z węgierskiej, czy słowackiej ziemi, ale już tu się zaaklimatyzowała i do wielkiej zamożności i zaszczytów doszła. Otton Horwath, właściciel Barbarowa, byłego dziedzictwa Oskierków i wielu innych posiadłości, powołany był na marszałka gubernjalnego. Prowadził więc dom otwarty, przyjmując szlachtę i dając wieczory w każdy wtorek. W domu jego były dwie ładne panny — Kuncewiczówna i Laura Zawadzka, późniejsza żona Bolesława Świętorzeckiego, znanego z dziejów 1863 r. Horwathowie mieszkali na rogu ulicy Kojańskiej i Wysokiego-Rynku, w oficynie kamienicy Delpacego, zwanego pospolicie Delpeszem. Był on podówczas burmistrzem i kupcem zarazem. Posiadał bowiem największy i najwytworniejszy skład win w Mińsku. Pochodził z rodziny szkockiej. Dziadek jego pojawił się tu, jako kupiec wędrowny i osiedlił na zawsze. W latach sześćdziesiątych rodzina ta wymarła, czy ulotniła się z Mińska. Ostatni zasłynął jeszcze magazyn mód Delpeszowej, której kapelusze cieszyły się wśród pań miejscowych wielką sławą.

„Wtorki“ Horwathów ściągały zawsze ogrom gości. Wieczory ówczesne zaczynały się wcześniej, około piątej po południu i kończyły o północy. Odznaczały się

wielką skromnością toalet, czego stanowczo wymagała pani domu. Takie sukienki muslinowa lub batystowe, podnosiły ochotę i wesołość zabaw, nie zaprzatając głów niewieścich myślą o strojach, a mężów i ojców o kosztach i wydatkach na nie.

Jakaż różnica z dzisiejszym zbytkiem w tym względzie, w chwili ruiny ekonomicznej!..

Kosztowne toalety z „wtorków“ Horwathówny były zupełnie wykluczone. Gdy raz się tam pojawiły panny Prószyńskie w jedwabnych strojach, wyglądały jak oranżeryjne kwiaty wśród polnego bukietu, ściągając niezadowolone gospodyni.

Drugi dom otwarty prowadził w Mińsku mieszkający z rodziną marszałek powiatowy, Ignacy Bogdaszewski z Wiazynia. Stanowisko marszałków szlachty, jako wysoce honorowe, nie było płatnem wcale. Stąd wymagało znacznego funduszu osobistego na utrzymanie domu i częste przyjęcia, jakie szlachta lubiła i jakie wobec ówczesnych warunków i zwyczajów życia, były konieczne. To też, gdy na elekcyjnych sejmikach w Mińsku powołano do marszałkostwa Bogdaszewskiego, ten się odmówił brakiem środków do godnej reprezentacji tego zaszczytnego urzędu. Rozentuzjasmowani elekci wyznaczyli mu 3.000 rbs. rocznej pensji i utrzymali wybory. Był to jednak pierwszy w dziejach sejmikowych wypadek pensjonowania honorowego dotąd stanowiska i utworzenia w budżecie szlacheckim nowego etatu.

Bogdaszewski był też pierwszym i jedynym w Mińszczyźnie, a może i na Litwie, płatnym marszałkiem.

Wypadek ten oddziałaby może jako zachęcający

przykład na przyszłość, ale burza krajowa, znosząc ostatnie sejmiki i rwąc ostatecznie wszystkie dawne tradycje, wytrąciła z rąk szlachty prawo wyborcze. Od r. 1864 na marszałków wyznaczani już byli urzędnicy z ramienia rządu.

Jak „wtorki“ Horwathów, tak zasłynęły wkrótce „czwartki“ Bogdaszewskich, dom których składał się z kilku synów oraz dwóch córek, które następnie poślubiły Juliusza i Piotra Świdów.

„Wtorki“ te i „czwartki“, — nie wygasły jeszcze jako miłe wspomnienia młodości, w pamięci byłych, żyjących jeszcze, wychowawców pensjonatu szlacheckiego. Wielu z nich, jako kończących szkołę młodzieńców, brało udział w tych zabawach. Władze gimnazjalne acz, ze względów naukowych, nie zbyt temu rade, odmawiać ziemiaństwu nie mogły i na każde wezwanie wysyłały do jednego lub drugiego domu najlepszych z pośród uczniów: tancerzy, w liczbie których prym trzymali: Michał Korsak, Apolinary Świętorzecki, Weysenhoff i paru innych.

W owych czasach Mińsk, jak wszystkie miasta, posiadał sporo drobnych dworków, w których się żyło, jak na wsi. W jednym z nich, o bardziej wykwinnym wyglądzie, z racji brązowych, błyszczących okuć u drzwi i okien, mieszkał przy ul. Zacharzewskiej były przed Horwathem marszałek gubernjalny, Osztorp. Pochodził również z cudzoziemskiej, szwedzkiej, jak się zdaje, lecz już spolonizowanej rodziny. Był ostatnim z rodu. Dzieci nie miał. Żył więc samotnie, otaczany przeważnie błyszczącą wówczas na horyzoncie mińskim, a już wygasłą również rodziną Estków, z którą był spokrewniony. Osztorpa znał Mińsk cały, to też tragiczny zgon jego

wielką sensację zrobił. Wracał do majątności swej w ihumeńskim, Dukory, zamkniętą kolasą, mając przed sobą szkatułkę ze złotem. Nagle stangret zatrzymał się u mostu a kamerdyner oznajmił, iż przejazd jest niebezpieczny. Wezbrana rzeka rozlaną była szeroko. Osztorp jednak, w charakterze którego leżała duma, nie znająca przeszkód, rzekł hardo.

— Kto ma wisieć — nie utonie!.. jechać!.. Konie ruszyły... Most załamał się z trzaskiem i kolasa z końmi poszła na dno. Stangret i lokaj zdołali wypłynąć, ale Osztorp utonął wraz z końmi. Ciężka szkatulka uderzyła go w czoło, pozbawiając przytomności do wydobycia się z zamkniętego powozu. Mówiono, iż zabiło go złoto, którego miał zbyt wiele. Przedśmiertne jego słowa stały się w Ihumeńszczyźnie przysłowiowymi i nieraz w dzieciństwie o moje się obijały uszy.

VI.

We dworku również, przy ulicy Wołoskiej, który jedynie, przy zagładzie innych, przechował się do dnia dzisiejszego, mieszkali Edwardostwo Wańkowiczowie ze Slepianki z liczną rodziną, która się następnie rozsypała po szerokiej przestrzeni kraju, tworząc możne gniazdo w paru innych guberniach. Córki ich, Gabriela, późniejsza Horwathowa, Jadwiga, poślubiona Wojniłowiczowi i Walerja, brały już pewien udział w zabawach ówczesnych. Ostatnia, dożywwszy samotnie sędziwego wieku, we dworku, w Mińsku, tamże przed paru laty zamordowaną została w celach grabieży.

Drugi dom Wańkowiczów stanowił Adam z Małej Slepianki, syn Walentego, znanego w kraju malarza,

obrazy którego cieszyły się tu wielkiem powodzeniem. Była to rodzina nader zacna i poważana. Adam Wańkowicz był następnie w 1863 r. naczelnikiem siły zbrojnej powiatu mińskiego. Żonaty był z Kluczkowską Zofją, córką wygnańca z 1846 r., któremu druga córka, niezamężna, Amela, wyjednała powrót do kraju. Gdy bowiem, w drugiej połowie piątego lat dziesiątki, Cesarz Aleksander II był w Mińsku ze swą świtą, wychodził z Soboru, młodzianka a uroczą panienka, ubrana białą, przedarłszy się przez tłum, padła do nóg Cesarza wołając:

— Gráce à mon père!.. gráce!..

Cesarz usunął ją lekko z drogi, nie przyjmując podawanej petycji piśmiennej. Porwał ją jednak fligiel-adjutant Orłow i musiał przedstawić Monarsze, bo wkrótce Kluczkowski otrzymał amnestię i w parę miesięcy wrócił do Mińska, gdzie już zamieszkał.

Oryginalną wielce postać tworzył w Mińsku Jerzy Kobyliński, obywatel, jak się zdaje, powiatu ihumeńskiego, uczony mąż i zamiłowany archeolog. Grzebał się nieustannie w archiwach i starych rupiecach, skąd wydobywał nieraz rzeczy wielkiej wartości. Zwano go szczerem archiwalnym. Jak każdy ziemianin ówczesny zajmował przytem pewną posadę. Służył więc najprzód w deputacji „wywodowej“, potem był członkiem komisji budowniczej. Obowiązki tych urzędów spełniał pro-forma: biegąc myślą do swych zbiorów i nowych do nich zdobyczy. Posiadał już istne muzeum, pełne starych obrazów, druków i rękopisów na pergaminie. Wśród wielu białych kruków, jakie się tam kryły, zwracał uwagę atlas geograficzny z 1560 r.

Znawca i amator, Kobyliński gromadził skrzętnie wszystkie zabytki muzealne, nabywając nieraz różne

przedmioty za grube pieniądze. A że miał talent malar-ski i władał nieźle pędzlem, odświeżał więc i odmawiał udatnie stare obrazy własnoręcznie. Jeden z nich, przed-stawiający Matkę Boską, odnaleziony gdzieś na stry-chu, ofiarował, po odnowieniu, do Katedry.

W Mińsku nie umiano należycie ocenić jego zbiorów. Krył się więc z nimi, jak bogacz ze skarbami, pokazując tylko wybranym i znawcom. Gdy jednak syna oddawał do szkół i zaprosił nauczycieli, by go wyegzaminowali w domu, co wystarczało do przyjęcia malca, otworzył przed nimi swe muzeum. Szablowski notuje, iż znalazł tam prawdziwie rzadkie okazy i rzeczy nader ciekawe, ogromnej wartości. Część zbiorów Kobylińskiego prze-szła następnie do muzeum hr. Eustachego Tyszkiewicza w Wilnie.

Mieszkali też podówczas w Mińsku Czesławostwo Świętorzeccy z Bohuszewicz z synami: Bolesławem, znanym z 1863 r. i Gustawem, który utonął w Tara-sowszczyźnie. Przebywała też stale w mieście pokrew-na im rodzina Świętorzeckich z Krzywicz. Stary Wła-dysław Świętorzecki zawieszał jeszcze na piersiach krzyż legji honorowej, otrzymany z rąk Napoleona, gdy służył w legjonach. A że następnie w Mińsku, będąc pre-zesem komisji żywnościowej, dostał order inny, również z obowiązku go nosił. Gdy Cesarz Aleksander II był w Mińsku na balu, wydanym mu przez szlachtę, gdzie bar-dzo popularnie rozmawiał z damami i pannami, spo-strzegłszy nagle te dwie gwiazdy zaszczytne, błyszczą-ce obok siebie na piersiach sędziwego legjonisty, zwró-cił się doń z uwagą, iż Krzyż Legji z orłem dwugłowym nigdy się zgodnie obok siebie mieścić nie mogą.



Świętorzecki Apolinary.

— Należy je rozdzielać, — dodał ze znaczącym uśmiechem, odchodząc do innej grupy panów.

Władysławostwo Świętorzeccy mieszkali w Mińsku z liczną rodziną, złożoną z trzech synów i kilku córek. Jeden z pierwszych zmarł w młodym wieku, dwaj drudzy—Rodryg i Apolinary, porwani huraganem burzy krajowej, długie lata następnie spędzili na wygnaniu.

Interesującym również w Mińsku był dom Kazimierzostwa Bulewskich, których córka Kazimiera, poślubiła w więzieniu skazańca do ciężkich robót, Piotra Czekotowskiego, członka pierwszego w Mińsku Komitetu organizacyjnego i z nim razem pieszo, etapem, udała się na Sybir. Znany i otwartym również wówczas w Mińsku był dom Hołowniów, którzy posiadali przy ulicy Jurewskiej, pod Nr 13, gdzie dziś Akwaryum, — znaczną posesję. W dziedzińcu jej, w starym murowanym, o oryginalnej strukturze domu, do dziś dnia istniejącym, mieszkał car Piotr Wielki, w czasie swego pobytu w Mińsku, podejmowany ze staropolską gościnnością przez Hołowniów. Pamiątką tej bytności pozostał w ich rodzinie zegarek złoty z portretem monarchy Wschodu.

Posesja Hołowniów istniała w Mińsku przeszło lat 200. W jej sadach znane były na kraj cały gruszki, „Hołowniankami“ zwane, rywalizujące ze słynnymi podówczas „Sapieżankami“. Dwa te, jedyne niemal wytwory ogrodnictwa miejscowego, giną już, jak i inne zabytki, przechodząc do tradycji. Z byłego sadu Hołowniów pozostały już tylko dwie gruszki, sterczące jeszcze jako pamiątka dawnej chwały, lecz już wymęczone życiem w nowych warunkach, drobny zaledwie owoc rodzące.

Do rodziny Hołowniów należała podówczas i majątność Ratomka, gdzie dziś ogniskują się letniska pod-

miejskie i folwark Ignacopol, istniejący w owym czasie, w okolicy dzisiejszego dworu Brzeskiego. Burza 1863 r. zmiatając z powierzchni Mińska wielu znanych rodzin, porwała i Hołowniów, unosząc wdowę po Feliksie, Hołowniną z Przyborów, wraz z dwiema nieletnimi córeczkami, do Berezowca w Syberji, wskutek znalezionej w jej domu znacznego składu broni. Wgnanka zdołała po latach wielu wrócić do Warszawy, ale wśród tych przejść ciężkich posiadłości swe w Mińsku i okolicy jego — utraciła. Jeden z przodków mińskiej linii Hołowniów, Aloizy, należał do gorliwych miejscowych Masońców. W Mińsku bowiem istniała, aż do jej oficjalnego zamknięcia, przez Cesarza Aleksandra I, około 1820 r. Łoża Masońska, zwana „Pochodnią Północną“.

Jeszcze w r. 1819 mistrzem Katedry był Michał Zenowicz, zastępcą zaś jego — Apolinary Wańkowiec. Budowniczym — Franciszek Frytch, podskarbin — Felician Arcimowicz, Pierwszym Dozorcą — Mikołaj Paszkowski, drugim — Ignacy Iwanowski, mówcą — Ignacy Brodowski, pierwszym stuartem — Jerzy Kobylński, drugim — Kosowski, jałmużnikiem był Jan Żyliński, architektem — Wincenty Sienkiewicz i sekretarzem — Jan Czeczott.

Na czele całej Masonerii wschodniej części polskiej stał Stanisław Kostka-Potocki.

Po urzędowej kasacie, Masoni mińscy, już na tajną przejść drogę musieli. Masoneria, jak się zdaje, obejmowała znaczną część ziemiaństwa mińskiego.

Mieszkał też w Mińsku Napoleon Czarniecki, ożeniony z wdową po Sielawie, byłym dziedzicu Starego Rakowa, Szapował i Nowego-Pola, stanowiących dziś własność ks. Druckiego-Lubeckiego.

Ożywionym też nader był dom Jana Dybowskiego z Rudzicy, ojca profesora Benedykta. Mieszkał w Mińsku z dwoma młodszymi synami—Tadeuszem i Stefanem, oraz córkami, z których Kamila poślubiła następnie Kotowicza.

Pani Łaska z Kijowa liczyła się również stałą mieszkanką miasta. Miała przy sobie córkę, późniejszą inspektorową Ganową, oraz dwóch synów. Rodzina Łaskich dziś wymarła, wyprawiała swój rodowód od twórcy słynnego statutu.

Przebywała też w Mińsku i rodzina Wierzbickich, z niezwykle piękną córką, zwaną Kitulą. Około zaś r. 1860 pojawił się i nowy dom Wierzbickich, bardzo ożywiony, pełen zawsze młodzieży. Ukazali się również i Jachimostwo Kudzinowiczowie. Wdowa po Joachimie, Emilja, z Wojciechowskich, prowadziła następnie odziedziczywszy po mężu znaczną fortunę, dom otwarty w Mińsku i wiele niosła ludziom pomocy, ułatwiając zwłaszcza wykształcenie ubogim młodzieńcom. Ale żyjąc bez rachunku i szafując groszem nieogłędnie, utraciła wszystko. Piękne majątki, spadłe na nią po mężu, jak Widohoszcz, Zajamma i inne, przeszły w ręce obce.

Do stałych mieszkańców miasta należeli Żukowscy z córkami, z których jedna była za Sikorskim, druga za Porazińskim, a trzecia za oficerem żandarmerji, Pohempem, który w czasie burzy krajowej nikogo nie zgubił, a wielu ludziom dopomógł.

Do bardzo znanych, zrosłych niemal z miastem, należały domy Śliżniów i Niesłuchowskich. Julian Niesłuchowski był prezesem Izby Cywilnej. Jeden zaś z jego synów, Jan, zasłynął następnie, jako lirnik miejscowy. Wydany tomik jego poezji, zwłaszcza z cyklu myśliw-

skiego, zawiera kilka pereł, pełnych prawdy i życia. Śliźniowie tworzyli dwa domy: Mieczysławostwa i Ottonostwa, cieszące się ogólnym w Mińsku szacunkiem.

Towarzystwo ziemiańskie w mieście kompletowały jeszcze rodziny Jeleńskich z mozyrskiego, Korsakowej z borysowszczyzny, Józefostwa Niemorszańskich z pod Mińska, których syn Ignacy, słynny z niepomiernego apetytu, przejadł niemal cały majątek.

Znane bardzo w Mińsku rodziny stanowili Pawlikowscy, wybitną w swoim czasie odegrywający rolę, z których Michał był honorowym kuratorem mińskiego gimnazjum, dalej Naborowscy, Spasowiczowie, Drzniewiczowie ze Stroczyń, Okuliczowie na dwa rozpadłe już domy, Szyszkowie, Barscy i parę innych, których nazwiska uleciały z pamięci. Do przelotnych ptaków, krócej lub dłużej w Mińsku przebywających, należeli: Uniechowscy z Cieplenia, Piszczalłowa z Horodyszcza, Kielczewscy z Jakszyń, Dziżakiewiczowie z Kijakowa z piękną bardzo córką, późniejszą Kopoiową, Janiszewscy z Cytwy i prezydent Bohdanowicz.

Wesoły nader dom tworzyli Kamieńscy, z których Jan był właścicielem kilku posesji w Mińsku i młynów na Lachówce. Znaną też była rodzina Kisterów i Holinfiewiczów, która zrusyfikowana następnie odpadła niejako od towarzystwa.

Mieszkała też podówczas w Mińsku i rodzina znanego historyka Tadeusza Korzona, który pierwsze światło wiedzy czerpał w szkole mińskiej, oraz rodzina Moszczeńskich. Na wspomnienie nie mniej zasługuje jeden z wybitniejszych obywateli miasta, Hausman, właściciel najpiękniejszej podówczas kamienicy w Mińsku. Była to osobistość nader popularna. Służąc w biurze gubernato-

ra, zajmował się heraldyką, dopomagając niejednokrotnie tym, co swe dokumenta utracili lub ich odszukać nie mogli, do utwierdzenia się w szlacheństwie, co w owe czasy miało wielkie znaczenie. Uratował tym sposobem nie jedną polską rodzinę. Szperając wciąż w archiwach, pracował jednocześnie nad historyczną monografią Mińska, którego przeszłość badał z zamiłowaniem. Opowiadają, iż po wielkim pożarze miasta, który zniszczył część Wysokiego i Nizkiego Rynku, odsłaniając widok na dolne dzielnice, gdzie ongi nad Niemią wznosił się zamek, Hausman miał z radością wykrzyknąć:

— Mam!.. już mam, mój Mińsk stary!..

Praca jednak Hausmana i po jego śmierci nie wyjrzała na światło dzienne.

VII.

Oprócz zamożnego ziemianstwa, błyszczącego na powierzchni społecznej, tkliło się też w Mińsku sporo drobnej, ubogiej szlachty, niższe urzędy i posady zajmującej. Wszystkie instytucje, od góry do dołu, pełne były swoskiego elementu. Rosjanie zajmowali jedynie niemal stanowiska administracyjne, pozostawiając wszelkie inne dla miejscowego żywiołu. Grosz więc ogólny, nie nappychając kieszeni obcych, spływał do swoich, ułatwiając ekonomiczną egzystencję.

Mińsk liczył podówczas około 35—40 tysięcy ludności, połowę której stanowili izraelici, zachowujący jeszcze swe typowe cechy oraz pewną życzliwość dla miejscowej ludności, czego dziś już niema. Nie posiadali jeszcze wówczas takich, jak dziś kapitałów i takiej arogancji, a interesy swe łączyli z interesami kraju.

Mówili tylko po polsku, manifestując niejednokrotnie w czynach swą dla nas sympatię.

Dopiero po 1863 r. postrzegłszy słabość zwyciężonych a siłę zwycięzców, siłę, która im ułatwiała zbierać fundusze na gruzach fortun szlacheckich, zwrócili się ku niej i nowemu słońcu bić czołem zaczęli.

Atoli wówczas jeszcze, zgodna harmonja panowała między polską a semicką nacją. Żydostwo posługiwało się w stosunku z miejscową ludnością jedynie polskim językiem, który głuszył wszystkie inne narzecza. I wszystko wiało jeszcze i oddychało świeżą przeszłością, której ślady zatarła następna powojenna epoka. Kto pamięta jeszcze Mińsk z owych czasów, ten go dziś poznać prawie nie może.

Szablowski w swym pamiętniku notuje, iż w r. 1852, po bardzo ostrej zimie, nastąpiło nader chłodne lato, niepomysłne dla urodzaju, ale chroniące w przekonaniu ogólnem kraj od cholery, która już grasowała w Królestwie Polskiem. Na Litwę jednak nie przysła. Mińsk tego roku bawił się, jak i dawniej, nader ochotczo. Sale readowe, mieszczące się w domu Hajdukiewicza, rozbrzmiewały taneczną kapelą. Wieczorki prywatne i bale następowały jedno po drugim. Ofiarą tych zabaw padła wówczas, jak notuje Szablowski, młodzieńca Stanisława Piotrowska, jedyna córka ziemian powiatu borysowskiego, z Kimiei, pod Ziembinem. Śmierć jej, w kwiecie wieku, poruszyła mocno całą sferę, w której się obracała. W kościele, przepełnionym po brzegi, ks. Malewicz, dziekan rakowicki, słynny kaznodzieja, wygłosił wstrząsającą mowę pogrzebową, która ogromne zrobiła

wrażenie. Mowa ta wnet przepisana, rozchwytaną była przez wszystkich. Pożółkłą jej kopję pisząca te słowa znalazła jeszcze w papierach matki.

Brat zmarłej Stanisławy, Piotrosław Piotrowski, ożeniony następnie z Leontyną Kowalewską, znanym był i poważanym ziemianinem w Borysowszczyźnie.

W r. 1853 padł w Mińsku, jedyny już niemal zabytek przeszłości, stary Ratusz, niemy świadek dawnych czasów i mińskich Sądów Trybunałskich. Stał na Wysokim-Rynku na dzisiejszym placu Katedralnym. Był już oszpecony, wskutek zbitej wieży, co mu nadawało wygląd pospolitej kamienicy, ale pełen był dawnych tradycji i wspomnień trybunałskich. W jego to murach rozstrzelany został, skutkiem zbyt pośpiesznego wyroku, młody ziemianin z pod Mińska, Michał Wołodkowiec, adherent ks. Radziwiłła, Panie Kochanku, z Nieświeża. Padł ofiarą ówczesnych waśni politycznych i swej gwałtownej a krewkiej natury, która zeń drugiego czyniła Kmicica. Dlatego to właśnie usunąć go z widowni politycznej chciano. Pojmany i stawiony przed Trybunałem, miał, w oburzeniu na niesprawiedliwe zarzuty, porwać się z szablą na jednego z sędziów. W uniesieniu potrafił nią stojący na stole krucyfiks z wizerunkiem Chrystusa. Skorzystano z tego, by mu inkryminować świętokradstwo, za które głową zapłacić musiał. Pośpiech, z jakim wykonano ten wyrok, świadczy niejako, iż w grę tu wchodziły czynniki politycznej natury, chęć pozbawienia Radziwiłła, gorącego sojusznika w Mińszczyźnie. Książę Karol, powiadomiony o uwięzieniu przyjaciela, pędził mu na odsiecz z licznym oddziałem, ale już w Kojdanowie dowiedziawszy się o jego śmierci, zawrócił stroskany do Nieświeża. Stary Ratusz miński, świadek

dziejów przeszłych, był okolony grubym parkanem. Bramy jego jednak były już zawsze otwarte dla przechodniów, a podwórze brudne i zaśmiecone.

Dawna jego powaga już upadała, przechodząc w tradycję... Niemy świadek przeszłości sterczał już niepotrzebnie, zasłaniając widok na świeżo powstały Sobór. Kazano go więc rozebrać. Przez parę miesięcy echa młotów, walących ściany, rozlegały się, jak jękliwa skarga, po całym mieście. Stare mury broniły się długo. W kwietniu gruzy były już uprzątnięte, a zrównana ziemia czyniła wrażenie świeżej mogiły.

Wycięto też i stare kasztany, okalające plac ratuszowy. Przez czas długi następnie plac ten świecił pustką, służąc w dnie gałowe i uroczyste za miejsce do parad i popisów żołnierskich, na które z okien i balkonów domu gubernatorskiego, mieszczącym się przy placu, w pojezuickich murach, wygodnie się można było przyglądać.

Przez lat wiele plac ten w śródmieściu świecił, jak wielka żółta plama, z której się roznosiły obłoki kurzu, zasypując przyległe ulice. Odrzewiono go ponownie przed trzydziestu, mniej więcej, laty. Przy kopaniu gruntu w czasie robót ogrodniczych odkryto w ziemi pozostałość po Ratuszu — szerokie, kamienne schody, wiodące do lochów, w stronę Katedry. Oglądali je ciekawie, lecz nikt zejsia tego do podziemia nie badał głębiej, zostawiając rzecz tę archeologom wieków przyszłych.

Jak większość miast starych, Mińsk cały był podminowany lochami. Biegły one od Zamku w przeróżnych kierunkach, łączyły z sobą pewne kościoły i rozgałęziając się pod Katedrą, gdzie się najlepiej zachowały, wybiegały pono aż poza miasto. Wewnątrz tego pod-



Antoni Jaźwiński
autor metody chronologicznej.

ziemnego labiryntu spotykano wielkie piece do wypieku chlebów, studnie, izby, więzienia ze rdzawymi łańcuchami, cmentarzyska, pełne trumien i kości, oraz korytarze o wylotach w przeróżnych kierunkach. Wiadoczne tu były pierwotne schroniska ludzkie w czasie napadów tatarów i późniejszych wrogów. Pod jeżycką Katedrą lochy miały cechy nowsze: mieściły groby, różne kryjówki i składy.

W połowie ubiegłego wieku znane były jeszcze do brze niektóre podziemne drogi, zwłaszcza zaś lochy, prowadzące do Katedry do byłego kościoła Benedyktynek, gdzie na cmentarzu był wylot w formie studni. Nieraz wychowawcy pensjonatu szlacheckiego urządzali sekretne wycieczki do podziemia, które od Katedry w różnych się łamały kierunkach. Były mocno sklepione i obstawione po bokach trumnami, z których czasem przeglądaly kości i całe szkielety, w polskie, nie zniszczone przez wilgoć, owinięte pasy.

Lochy były w wielu miejscach zawałone lub żelaznemi zaparte drzwiami, pełne próchna, w którem tonęła noga. Jedynie bezpiecznie przejść można było do wylotu na ulicę Zborową, przy kościele Benedyktynek. W każdym innym kierunku brak powietrza gasił świecę i groził życiu.

Szablowski notuje, iż w 1853 r. bawił w Mińsku Jazwiński, słynny z zastosowania mnemonicznej metody, w swych chronologicznych tablicach do historii polskiej, opracowanej dla młodzieży przez Aleksandra Zdanowicza. Wydanie to cieszyło się wielkiem powodzeniem. Rozchwymano kilka jego edycji. Z książki tej przez lat wiele dzieci polskie całego kraju przyswajały sobie pierwszą wiedzę o dziejach ojczystych. A choć pozba-

wione były szerszego poglądu i traktowane sucho, miały one swą wartość, gdyż dzięki tablicom chronologicznym, wrażały w pamięć wszystkie ważniejsze fakty i wypadki historyczne wraz z ich wiekową datą.

Dzisiejsza metoda pedagogiczna odrzuciła książkę Zdanowicza i tablice Jaźwińskiego. Ostatnie jednak przy początkowej elementarnej nauce historii kraju, mogą niejednokrotnie i obecnie oddać pewne usługi.

VIII.

Od czasu biskupa Dederki, który, choć krępowany w swej duchownej działalności wskutek polityki smutnie zapisanego w dziejach Kościoła na Białej Rusi metropolity Siostrzeńcewicza, — zostawił po sobie najlepszą pamięć, — diecezja mińska nie posiadała wcale pasterza przez Rzym zatwierdzonego.

Biskup Dederko, ze starej, szlacheckiej pochodzący rodziny, którego przodkowie walczyli pod Wiedniem, padł ofiarą swych narodowych uczuć. Nie uszła mu bezkarnie jego działalność w 1812 r., publiczne wezwanie ludności miejscowej do zawiązania Konfederacji mińskiej i walki, przy pomocy francuzów, o wolność kraju.

A choć głos biskupa Dederki zdołał zaledwie drobna falę na tem politycznem morzu poruszyć, atoli sam, w roku następnym, po ukończonej tragedji wojennej, został zmuszony wyjechać w głąb Rosji, do Orla, gdzie i życia dokonał w 1824 r.

Następnie, przez pół wieku niemal, diecezją mińską rządzili różni słabi i nieudolni administratorowie, którym Watykan uparcie prekonizacji odmawiał. A podczas tych smutnych rządów diecezja przeżyła wielkie wstrzą-

śnienia polityczno-religijne, rok 1831, zniesienia Unji, zabiegi Siemaszki, czasy Mokryny Mirosławskiej... Cały chaos mieszaniny wyznaniowej tych wrażeń a ciężkich przeżyć, które były jej następstwami.

Po słabej administracji prałata Lipskiego, który zmarł w r. 1839, w chwili kasaty Unji, gospodarkę diecezjalną objął niedołężny ks. Paweł Rawa, człowiek słabego i pospolitego umysłu, gdy w owej przełomowej chwili potrzeba było bardziej, niż w innym czasie, światłej i energicznej głowy.

Słaba i nieudatna administracja ks. Rawy nie wydała korzystnych dla diecezji owoców. Niektórzy utrzymują, iż zbudziła pierwiastki rozprężenia wśród duchowieństwa, które się wyraźniej zamaifestowały w przejawach renegacyjnych po 1863 roku.

Dopiero w 1853 r. diecezja mińska doczekała się wreszcie pasterza, przez Rzym uznanego. Był nim ks. Adam Wojtkiewicz, rektor seminarjum mińskiego. Gdy z pastorałem biskupim w rękę przybył z Petersburga dn. 22 lutego do Mińska, radość ogólna nie miała granic. Wspaniały jego ingres ściągnął niezliczone tłumy. Ludziska łkali i płakali jak dzieci.

Któż wtedy mógł myśleć, iż ten, przez lat tyle wycekiwany pasterz, będzie ostatnim biskupem w Mińsku?!.. Pobożność ogólna, podniecana jeszcze wypadkami roku 1839 i kilku następnych, stała podówczas na wysokim nader poziomie. Wszystkie uroczyste święta sprowadzały do kościołów takie rzesze ludu, iż dziwić się należało, skąd się one brały? Katedra, kościoły Bernardynów, Bernardynek, Benedyktynów oraz kaplica Dominikańska, przepelnione bywały po brzegi. W Wielkim tygodniu wszystkie te świątynie wysadzały się jed-

na przed drugą na bardziej efektowne urządzenie grobów, które nawiedzały nieprzebrane tłumy. Ścisk bywał tak wielki, iż choć policja czuwała, wypadki zduszenia i omdlenia były nader częste. W czasie nabożeństwa wierni, nie mieszcząc się w świątyniach, zapelniali wszystkie ich krużganki, wylewając się aż na ulice. Zjawisko podobne widywaliśmy już później tylko w Katedrze, pozostałej jedynym Domem Modlitwy w Mińsku. Gdzie się podziały owe tłumy, które wówczas w kilku kościołach pomieścić się nie mogły?!

Nowa świątynia wzniesiona świeżo przez p. Wojniłowicza, daje dziś ujście pobożnej fali... Wówczas jednak ujść takich było więcej, ale i ówczesna fala szerzej i silniej płynęła.

W chwili instalacji biskupa Wojtkiewicza, diecezja mińska, po zniesieniu Unji, liczyła 180,000 katolików, posiadała 12 dekanatów, obejmujących 80 parafii i 21 filii parafjalnych. Oprócz zaś tego miała 140 kaplic oraz sześć klasztorów, męzkich i żeńskich. Wszystkich księży, jak świeckich, tak i zakonnych było na ogół 150, oraz 80 alumnów w seminarjum mińskim i 15 wysłanych do Akademii w Petersburgu. Rektorem seminarjum był ks. Jan Nowicki, magister teologii.

Gdy biskup Wojtkiewicz obejmował diecezję, istniały w Mińsku, oprócz pojezuickiej katedry, kościoły i klasztory Bernardynów, Bernardynek i Benedyktynek. U nieistniejących już Dominikanów z byłego kościoła pozostała tylko kaplica na górze, a w klasztorze mieściło się seminarjum. Oprócz tego istniały dwa małe kościołki na cmentarzach miejskich, Kalwarii i Złotej Górze.

Szablowski notuje, iż za jego pamięci, około 1830 r., istniały jeszcze w Mińsku świątynie: Franciszkanów nad



Szoltmir
Bernardyn.

stan rzeczy zmieni się w lat dziesięć zupełnie. Pewna nawet otucha wstępowała w serca, zwłaszcza tych ludzi, którzy głębiej w polityczne nie zatapiał się sprawy.

Biskup Wojtkiewicz nie łatwe miał przed sobą zadania. Musiał wydzwignąć diecezję z półwiekowego chaosu, co zdawało się przekraczać jego siły. Spotykał w tym względzie mnóstwo trudności i niechęci w miejscu pomocy. Burzliwsze żywioły sarkaly i wielu się mal-kontentów wśród duchowieństwa znalazło.

Jeszcze należyty porządek nie został przywrócony w diecezji, gdy wypadki 1863 r. sparaliżowały dalszą działalność. Zaledwie pierwsze pioruny uderzyły w kościół, znów się wszystko rozprzegło i osłabło.

Diecezja mińska przetrwała jeszcze do 1868 r., a w parę lat później biskup Wojtkiewicz, złamany walką, zakończył życie w Wilnie.

Już w ostatnich latach pewna garść księży, wylaniając się z pod jego władzy, wytworzyła następnie owych renegatów i odszczepieńców, w rodzaju Sęczykowskiego,—imiona których czarnymi zgłoskami wyryły się w dziejach kościoła w Mińszczyźnie.

Biskup Wojtkiewicz, odnawiając starą katedrę pojezuicką, zmienił zupełnie poważny charakter świątyni, w ciemnym utrzymanej tonie. Brak smaku artystycznego podszepnął mu nadać jej jasne barwy i złocenia, nie harmonizujące z powagą jej stylu. Jednocześnie przerobione zostały na pospolitą klatkę oryginalne, łukowate chóry, stanowiące ozdobę świątyni i chlubę, niewątpliwie, O.O. Jezuitów.

Na chórach tych grywała często pierwsza niemal orkiestra w Mińsku, zorganizowana przez Stefanowicza z dwudziestu czterech osób złożona.

Do osobliwości katedry należał starodawny obraz Matki Boskiej, umieszczony w kaplicy Św. Trójcy. Szablowski wspomina w swym pamiętniku, iż właśnie przed tym ołtarzem ksiądz ślubną stułą połączył go z żoną. Obraz ten miał być podarowany przez Cara Aleksego Michajłowicza Cyprjanowi Brzostowskiemu, wojewodzie trockiemu, który hojnie wspierając świeżo do Mińska sprowadzonych Jezuitów przez Hieronima Sanguszkę, biskupa Smoleńskiego, obraz ten w 1680 r. do ich budującego się jeszcze kościoła ofiarował.

IX.

W r. 1853 zawisło nad Mińskiem czarne widmo cholery, siejąc grozę i przerażenie. Epidemia, przeniosłszy się z Warszawy do Petersburga, gdzie najdłużej gościła, ukazała się następnie w błotnych okolicach Pińska, skąd, przenosząc się do Słucka i Nowogródka, rozbiegła w końcu po wszystkich powiatach, sprząając liczne ofiary i pustosząc niemal wsie całe. Gdy brakło ludzi i czasu do wywożenia zmarłych na wiejskie mogiły, wydzielano w środku wsi jakiś placyk i na tym improwizowanym cmentarzysku grzebano pośpiesznie, bez trumien czasem, spychając po kilka ciał do jednego dołu, licznych nieboszczyków, których każda dostarczała chata. Jeżeli lament biegł od wsi każdej i mieszcząc się z głosem pracujących bez przerwy dzwonów, rozlegał się w powietrzu echem strasznej ludzkiej skargi.

Cholera nie spotykała żadnej tamy. Szła swobodnie przez wsie, otwierając wciąż nowe mogiły.

Do dziś dnia ślady jej przejścia zachowały się w

często spotykanych „cementarzach cholerycznych“, rozrzuconych po wsiach, pozbawionych już krzyżów i chwastami porośłych.

Do Mińska zawiała cholera w sierpniu, znajdując, jak i po wsiach, wolną do swego pochodu drogę. Miasto na przyjęcie strasznego gościa nie było przygotowane wcale. Nie miało ani baraków izolacyjnych, ani urządzeń sanitarnych. Nie znało i nie posiadało tej całej armatury dezynfekcyjnej, którą dziś medycyna rozporządza.

Publiczność nie słyszała wcale o mikrobach, łasecznikach i bakcylach. W nieświadomości swej, nie zmieniała trybu życia i spała spokojnie, jak Adam i Ewa w Raju przed spożyciem jabłka z drzewa wiadomości dobrego i złego. Warunki higieniczne miasta były znacznie gorsze, niż obecnie. Dzielnice żydowskie wylewały zabójcze wyziewy, a i podwórza domów chrześcijańskich nie grzeszyły zbyt czystości. Komisje sanitarne, wytwór późniejszej kultury, wówczas nie istniały wcale. O higienie słuchano, jak o żelaznym wilku.

Życie przelewało się w pierwotnych korytach, opierając się szerszym i świeższym strumieniom.

Wobec niechlujstwa i ciemnoty warstw niższych, zwłaszcza żydowskiego proletariatu, walka z epidemią była trudna, tembardziej, iż i medycyna nie posiadała tej całej armatury środków, którymi dziś rozporządza. Ówczesny jednak urząd lekarski krzątał się, jak widać, pilnie, odpowiednio do ówczesnych pojęć i warunków. Nakazano usuwać nieczystości, polewać cuchnące rynsztoki dziegciem. Zabroniono sprzedawać owoce i mleko. Śladu jednak niema, by studnie i woda zwróciły poważniejszą uwagę. Miasto podzielone zostało na cyr-



dr. Hintenburg.



dr. Feliks Komocki.

kuły, oddane w pieczę różnym lekarzom, posiadającym pewną liczbę felczerów do pomocy.

Personel medyczny składali wówczas następni lekarze. Dr. Spasowicz, inspektor Zarządu lekarskiego, ojciec słynnego następnie mecenasa Włodzimierza, Węśławowicz, doktor powiatowy, Hindenburg, doskonały akuszer i wielkiej dobroci człowiek, Moszczeński, Fogt, Kjersnowski, Libiczeńkowski, Komocki, Lubieniecki, Lisowski, Bejlin i kilku innych.

Wobec jednak gwałtownego wybuchu epidemii, pomoc lekarska w Mińsku okazała się niedostateczną. Wkrótce bowiem ludzie jak muchy zaczęli padać na ulicach. Straszna zwłaszcza śmiertelność zaznaczyła się w dzielnicach żydowskich, które się okazały niejako rozsądnikiem zarazy, przenoszącej się stamtąd do centra miasta.

Nikt jednak nie wiedział nigdy, ile istotnie w okolicy Nizkiego Rynku codziennie zmierało osób. Żydzi talli to starannie, unikając wszelkiej o epidemii wzmianki. Ani policja, ani lekarze zbadać istotnego stanu rzeczy nie mogli. Zabobonny przesąd nie dozwalał żydom wymówić nawet słowa: cholera. Nie wybiegało ono nigdy na ich usta, co i dziś jeszcze zauważyć się daje u izraelitów starszego zwłaszcza pokolenia.

Zaraza szerzyła się gwałtownie. Wymierały całe rodziny.

Często na ulicach widywano chorych, tarzających się w bólach i konających na bruku. Do środków ratunkowych, stosowanych zresztą wówczas we wszystkich niemal chorobach, należał i upust krwi z ręki lub nogi. A choć skutki tego w cholerze nie były zbyt pewne, felczerowie nie wychodzili na ulicę bez lanceta w rękę.

Zalecano pić wódkę i gorące napoje. Trwoga ogólna rosła tak silnie, iż w celu osłabienia wrażenia, zabroniono w miejskich kościołach dzwonić po umarłych. W kaplicach zaś cmentarnych, na Kalwarii, Złotej-Górze i prawosławnej Stróżówce, dzwony mogły odzywać się tylko wieczorem.

Gdy więc mrok zapadał, jęki cmentarnych dzwonów biegły ku miastu przez długie godziny, potęgując bardziej jeszcze uczucia strachu i przygnębienia. Oddziaływało to mianowicie na nerwowe i wrażliwe osobniki, przyprawiając nawet niektórych o chorobę.

Kto tylko mógł uciekał z miasta.

Szablowski notuje, iż w czasie epidemji przebywał z rodziną na letnim mieszkaniu, które, jak wszystkie ówczesne, nieliczne letniska, mało jeszcze uczęszczane, mieściło się na przedmieściu, na tak zwanym Tatarskim-Końcu, wybiegającym ku Kalwarii. Szablowski wynajmował tam dom cały za pięć rs. miesięcznie, od tatarskiego Bekiry-Smolskiego.

Mieszczący się w tej okolicy tatarzy, byli potomkami niewolników Witoldowych, których ten bohater Litwy, w wielu osadził miastach. Mińscy tatarzy, pomimo długich wieków, trzymali się jeszcze swej wiary i swych obyczajów. Byli pracowici i przeważnie uczciwi. Uchodzili też za dobrych obywateli kraju.

Szablowski, nie piłując się zbyt ściśle przepisów, bawił się połowem na wędkę ryb i raków, które zajadali następnie, popijając mlekiem. Nieraz na wilgotnej łączce nad rzeką przesadywali z dziatwą do późnego wieczora, aż żalosny dźwięk Kalwaryjskich dzwonów, sciskający serca, zwracał ich z powrotem do domu.

Zdarzyło się, iż raz odwiedził ich brat pani Szablowskiej, Lucjan Godaczewski, z którym, wedle zwyczaju, udali się nad rzekę. Gwarzyli z sobą wesoło i swobodnie, gdy nagle jęknęły dzwony. Młody człowiek wstrząsnął się nerwowo i pobladł, przysłuchując się w smutnej zadumie tym cmentarnym echom.

Wracając do domu, rzekł do siostry:

— Jutro już dla mnie dzwonić będą!..

Smutne wrażenie nie dało się rozproszyć przez cały wieczór. Dzwony zdawały się bić głośniejsze, niż zawsze, a jęklive ich echa wciskały się do mieszkania przez wszystkie szpary drzwi i okien.

Godaczewski, wróciwszy w nocy do miasta, nazajutrz, dotknięty cholerą, żyć przestał. Dlatego zrozpaczona rodzina przypuszczała iż jest on w letargu. Wezwany dr. Bejlin znalazł u trupa pewną ciepłotę i zawahał się w zdaniu. Pozostawiono więc zmarłego dni parę w otwartej trumnie, w kaplicy cmentarnej na Kalwarii, wynajmując dziadów do pilnowania nieboszczyka.

Fakta powyższe świadczą, jak środki ostrożności były podówczas słabo przestrzegane.

Ogół w udzielaniu się zarazków wierzyć jeszcze nie chciał. W pierwszych dniach września, gdy się lekcje w gimnazjum, jak zwykle, rozpoczynały, wszyscy niemal uczniowie, z małym wyjątkiem, wrócili ze wsi i w klasach się ukazali. Ale i cholera, po gwałtownym wybuchu, już w końcu sierpnia słabnąc poczęła, a z nastaniem wczesnych jesiennych chłódów, ustąpiła niemal zupełnie. Atoli wiosną roku następnego zajaśniała raz jeszcze acz w słabszej formie, kładąc przeważnie wieśniaków, przybywających na targi do miasta.

Z tej racji zamknięto na czas jakiś rynki miejskie, co

spowodowało znaczne źródło produktów żywnościowych. Wkrótce jednak epidemiczne zarazki rozwijały się w powietrzu i życie wróciło do normalnego biegu.

X.

W r. 1854 doleciały do Mińska pierwsze odgłosy wojny Krymskiej, budząc w wielu piersiach nieokreślone uczucia. Dalekie jednak te echa nie wpływały na bieg życia normalnego, acz chwymano ciekawie wszelkie wieści, napływające do miasta.

Restauracja katedry, podjęta przez biskupa Wojtkiewicza, zajmowała pobożny ogół miński. W celu wzmocnienia na cel ten funduszów, z inicjatywy ks. Terajewicza zorganizowane zostało przez panią Spasowiczową, żonę inspektora lekarskiego, wielkie przedstawienie amatorskie, połączone z taneczną zabawą, które ściągnęło całe ówczesne towarzystwo mińskie, przynosząc spory dochód. Datki sypały się hojnie. Pani Kamieńska z Kreszczanki ofiarowała 700 rs., co na owe czasy, poważną stanowiło sumę. Wszyscy się cieszyli z odnowienia Świątyni, której ciemne, dość ponure wnętrze, raziło smak pospolity.

W początku roku rząd uregulował ponownie powinności włościan względem dworu. Wprowadzone zostały nowe spiski i inwentarze, które już pozostały bez zmiany aż do czasu zniesienia pańszczyzny.

Dn. 20 lutego ogłoszony został w Mińsku Manifest, powiadamiający ogół o nieprzyjaznym zachowaniu się względem Rosji, Anglii i Francji, sprzymierzających się z Turcją. Jednocześnie dobiegły wieści o wprowadzeniu stanu wojennego do pogranicznych zachodnich gubernji.

Stan wojenny objął również gub. petersburską, archangielską i ołonecką. W Mińsku puls ogólny bił coraz żywiej, podnosząc się lub opadając na przemian. Raz poraz. wiatr zachodni przynosił do miasta jakieś niewyraźne nowinki, które rozpały chwilowo ogień w oczach młodzieży. Władze miejscowe zdradzały czujność wielką, wyrazem której był szereg rewizji u wielu osób. Szukano, u kancelistów zwłaszcza, broni, którą odbierano i konfiskowano. Gdy w owym czasie trzech uczniów, Sperber, Stankiewicz i Sidorowicz, wyszedłszy na polowanie za miasto, zatrzymani przez chłopów, wzięli z nimi sprzeczkę, przyczem Sperber wystrzelił, podniosła się awantura tak wielka, iż nawet jen.-gubernator sam dla tej sprawy z Wilna przyleciał. Sperber został usunięty ze szkoły. Zaraz potem rozkazano zbierać składki dla rannych żołnierzy. Nauczyciele gimnazjalni, zapłaciwszy należną dań, obowiązani byli kwestować w tym celu wśród młodzieży we wszystkich naukowych zakładach.

Wypadki biegły szybko. Dnia 3 kwietnia kazano uczniom być wraz z nauczycielami w Soborze, na dziękczynnem nabożeństwie, wskutek szczęśliwego przejścia wojsk rosyjskich przez Dunaj. Zaraz jednak potem, nowy manifest ogłosił poddanym o nieprzyjaznych krokach Anglii i Francji.

Pantoflowa poczta przynosiła wciąż świeże, bające często wieści, które przechodziły z ust do ust. Prenumeratorów gazet było wówczas niewiele. Nieliczne pisma, przychodzące do Mińska, rozchwytywano na wszystkie strony. Zaraz po Wielkanocnych Świątach przeciągnął przez Mińsk, podejmowany przez miasto, pułk króla Neapolitańskiego, śpieszący na teren wojenny.

W maju dał się już uczuć brak drobnej srebrnej monety, która stopniowo znikać coraz bardziej z obiegu zaczęła. Zmiana asygnaty na rubla wciąż się stawiała trudniejszą. Zrazu za zmianę płacono po 3 grosze za rubla, lecz wkrótce opłata ta urosła do 15 groszy, co już dotkliwie znaczenie miało. Wkrótce brak monety był tak wielki, iż komplikował bieg powszedniego, ekonomicznego życia, utrudniając, zwłaszcza uboższej ludności, zaopatrywanie się w drobne, groszowe artykuły codziennej potrzeby.

Przybywające, wedle zwyczaju, ze Świętojańskiego jarmarku w Mińsku budy greckich i ormiańskich kupców, miały w tym roku słabsze powodzenie. Błyszczące wschodnie jedwabie i kanausy, mniej kusily publiczność niż zwykle.

W chwili rozpoczęcia egzaminów szkolnych wpadł do Mińska jenerał-gubernator, co wszystkie instytucje w pewien ruch wprawiło. W gimnazjum przerwano egzamina i w galowych mundurach oczekiwano wizytacji, ale Bibikow, nie wstępując nigdzie, udał się do Przyluk, majątności marszałka Horwatha, dziś hr. Jerzego Czapskiego, skąd po odbyciu pewnej konferencji politycznej, zawrócił do Wilna. Gdy egzamina szkolne dobiegły końca, obywatel Edward Wańkowicz ze Ślepianki syn którego Jan, ukończył właśnie nauki w Mińsku, zaprosił całe gremjum nauczycielskie z dyrektorem i inspektorem na czele, na wspólny obiad, wydany w celu podziękowania za wykształcenie syna. Liczne toasty i okolicznościowe mowy, uświetniając ucztę, przeciągnęły się aż do nocy. Już miasto zaczęło się wyludniać przed wakacjami, gdy w okolicach Mińska pojawiła się moc wściekłych wilków, napadających na ludzi. Codzień nie-

mał zwożono nowe ofiary do lazaretu miejskiego, a że szczepionka Pasteura jeszcze była nieznana, więc nikt się z tych nieszczęśliwych uratować nie dał. Pokaleczeni przez wilków zmierali w strasznych męczarniach szaleństwa. Po wilkach pojawiły się znowu psy wściekłe, które czas długi również spokoju nie dawały. Z miasta nikt się dalej ruszyć nie miał odwagi. Zwykle spacerować do lasów, opierających się jeszcze wówczas wszędzie o miasto, — ustały. Najśmielsi dochodzili do pomnika Św. Wincentego, na Kojdanowskim trakcie. Stary ten pomnik po 1863 r. został w prawosławny monument zamieniony. Szablowski motuje, iż w owym czasie bawił z rodziną w Górnym-Toku, posiadłości rodziców żony, Godaczewskich, na pograniczu ihumeńskiego i borysowskiego powiatu. Opisuje parodniową drogę końmi, miłową i niebezpieczną groblę Marcinowską za Ihumeniem, słynną z napadów zbójów, którzy już ograbili wielu podróżnych. Zwiedza kościoły w Ihumeniu i miasteczku Berezynie, gdzie był proboszczem ks. Pietkiewicz i unosi się nad pobożnością ludu.

Wakacje ówczesne były o wiele krótsze, niż obecne. Egzamina kończyły się w końcu czerwca, a lekcje się zaczynały w drugiej połowie sierpnia. Mińsk więc się zaludniał wczesną jesienią, która w owym przedwojennym roku była pełna niezwykłych wrażeń.

W dniu 2 października rzadka uroczystość sprowadziła do Mińska tłumy pobożnych. Biskup Wojtkiewicz konsekrował stary kościół Bernardynów, który, acz istniał już 230 lat, był tylko dotąd wyświęcony. Uroczystość konsekracji odbyła się wspólnie. Liczne podówczas duchowieństwo wystąpiło z całą pompą i okazałością wobec olbrzymiego zgromadzenia ludu, fala któ-

rego zalewała nie tylko wązką, przedkościelną uliczkę, lecz i wszystkie jej dalsze ujścia. Kto mógł się wówczas spodziewać, iż w lat dziesięć, mniej więcej potem, ten tak drogi Mińczanom, uczęszczany bardziej od innych, kościół Bernardynów, fundowany w 1628 r. przez Jana Kęsowskiego, starostę Krasnosielskiego, zostanie odebrany i skasowany bezpowrotnie!

Pomimo pobożności ówczesnej i ściśle zachowywanych praktyk religijnych, wiara we wróżby, w gusła i w cudotwórcze leki była jeszcze mocno rozpowszechniona. Ulegały jej nie tylko warstwy niższe, lecz w pewnym stopniu i zamożniejsze sfery. Właśnie w owym czasie ukazała się około Oszmiany jasnovidząca, Grasylda Narkiewiczowa. Miała być cudowną lekarką i trafnie umiędziedzać przyszłość. Pędzili ku niej ludzie ze wszystkich stron kraju. Biegli piesi, zajeżdżały wózki, bryczki, a nawet landary. Przeważnie ciągnęli chorzy, rzucając swych lekarzy, a wierząc w cudowną moc jasnovidzącej, która tymczasem zgarniała pieniądze, sypiące się ze stron wszystkich. Po pewnym jednak czasie fama o cudach słabnąć poczęła. Chorzy bowiem nie poprawiali się wcale, a gdy oszustwo wyszło na wierzch, Narkiewiczowa ulotniła się z pod Oszmiany, przenosząc się zapewne w inne miejsce ze swą jasnovidzącą praktyką.

XI.

Rok 1855 zbudził się niejako z okrzykiem wojennym. Nad Sewastopolem brzmiały działa, echa których dobiegały do Mińska, przynosząc różnorodne wrażenie.

Życie płynęło na pozór spokojnie, acz w głębiach

wielu młodzieńczych piersi nurtowały niespokojne uczucia.

Kółko samokształcenia się, powstałe wśród uczniów gimnazjum, rosło i rozwijało się cicho. Młodzież pracowała, zwłaszcza nad językiem ojczystym, usuniętym po 1831 r. ze szkoły. Pomagał jej w tem Florjan Czepielński, urzędnik z bióra Dóbr Państwa, otwierając polską czytelnię, z opłatą za wypożyczanie książek dwóch złotych miesięcznie. Pieniądze te szły na zakupywanie nowych książek, czem się sam Czepielński zajmował. Ruch czytelniowy tak się wśród młodzieży rozwinał, iż księgarze żydzi, baczni na każdy objaw, pootwierali również na tychże warunkach czytelnię polską u siebie.

Dyrektor Deśnicki niechętnie bardzo na to czytelnictwo uczniów spoglądał i prześladował go, ile mógł. Młodzież czytała ukradkiem, ucząc się literatury i historii kraju swego.

Wielu uczniów klas starszych, pragnących wydoskonalić się w łacinie, wobec nieudolności nauczyciela Riazańskiego, który ją wykładał, — brali prywatne jej lekcje od Ignacego Legatowicza, byłego profesora szkół lepelskich, bardzo światłego człowieka. Był to doskonały pedagog, ale dotknięty już ślepotą tak, iż tylko pamięciowo mógł wykładać.

Przy gimnazjum mińskim istniała szkoła geometrów, założona w 1850 r. na 50 uczniów i subsydjowana przez rząd, który za utrzymanie każdego ucznia płacił około stu rubli. W szkole tej wykładali nauki nauczyciele gimnazjalni. W czasie wojny Krymskiej ujawnił się wśród geometrów pewien ferment, wiecznie wrzący w młodzieńczych piersiach. Łącznie z młodymi patriotami wileńskimi, zaczęli tworzyć mgliste projekta zba-

wienia kraju. Rzecz ta się jednak wykryła w Wilnie. Śledcza komisja Łomaczowa dała znać władzom mińskim o karygodnym zachowaniu się geometrów. Wszczął się ruch i areszta uczniów. Kilku z nich, jak Markiewicz, Hryniewicz, Kisiela, Czechowskiego, Bartoszewicza i paru innych, zaraz pod strażą odesłano do Wilna. Mniej winnych, jak Osmałowskiego, Łoparewicza, Beuharda, Hrehorowicza i Wojnicza, zatrzymano w Mińsku.

Wypadki te wywołały w mieście niepokój i szemranie. Proces ciągnął się do lata. Zjeżdżał nawet do Mińska jen.-gubernator Bibikow, zatrzymując się u marszałka Stolfińskiego, mieszkającego w mieście. Wpływ jego oraz innych ziemian, złagodził tę sprawę. Wkrótce się bowiem ukończyła uwolnieniem wszystkich niemal geometrów, z których tylko paru podległo karze.

Sprawa geometrów była jedynym wyraźniejszym przejawem w Mińsku polskiej politycznej myśli w czasie wojny Krymskiej.

Gdy z Sewastopola dochodziły głuche echa o zwycięstwie mocarstw sprzymierzonych, wpadła jak piorun do Mińska dn. 18 lutego wiadomość o nagłym zgonie Cesarza Mikołaja.

Uderzyły wnet wszystkie dzwony i zakotłowały władze miejskie.

Le roit est mort, — vive le roi! Wnet cały organizm urzędniczy złożył przysięgę na wierność nowemu Monarsze. Złożyli ją również wszyscy obywatele miasta w świątyniach swych wyznań.

Na tron rosyjski wstępował Aleksander II, na którego zwracały się oczy z nadzieją i niepokojem.

Gdy Mińsk po dniach paru wrócił do równowagi,

odwiedził gimnazjum i pensjonat szlachecki nowo obrany kurator, Michał Pawlikowski.

Klasa IV, pomimo zwrócenia wielu uczniów do szkół parafialnych, była wówczas nader przepełniona. W klasie zaś III znajdowali się dorośli niemal młodzieńcy, którzy po lat kilka w niej siedzieli, nie mogąc posunąć się wyżej. Rozpoczynające się z wiosną przechadzki i spacer. mieszkańców Mińska, spragnionych świeżego powietrza, ułatwiały wówczas węższe znacznie granice rozległego dziś miasta i ściana zielonych lasów, których obecnie śladu niema, do nich przylegająca. Miasto miało jeden tylko park publiczny, u spadu ulicy Zacharzewskiej, nad Swisłoczą, zwany ogrodem gubernatorskim, pewnie dlatego, iż go założył w 1800 r. gubernator miński Karejew, drugi z rzędu po rozbiórce kraju. Nad bramą ogrodu widniał jeszcze stary napis Hortis-Urbis.

W tej stronie miasta, dolna jego dzielnica, mniej gęsto podówczas zabudowana, tonęła w zieleni ogrodów i sadów prywatnych. Na starodawnym miejskim cmentarzu, zniszczonym i oddanym do zabudowania, u stoku ulicy Zacharzewskiej, porastające drzewa tworzyły jak i dziś jeszcze, rodzaj parku, naprzeciw którego rozkładał się młody podówczas ogród archierejski, przy nowej rezydencji biskupów prawosławnych, powstały na zakupionym dla nich przez miasto gruncie.

Jak pierwszy archierej w Mińsku, mianowany przez Katarzynę, znany Wiktor Sadkowski, tak i jego następcy, mieścili się wprzód w śródmieściu. Po wzniesieniu Soboru, powstałego na gruzach zgorzałego kościoła Bazylianów, mieli się usadowić w byłym ich klasztorze, w murach którego istniało czas jakiś gimnazjum, po 1812 r.,

i gdzie dziś lokuje się Sąd Okręgowy. Atoli różne okoliczności przeniosły siedzibę archierejską na Zacharzewską ulicę.

Od miasta, z kilku jego wylotów, biegły w kierunku miast powiatowych trakty, czyli gościńce, wysadzone podwójnym rzędem brzoź, wśród których wila się szeroka, bardzo dobrze utrzymywana, droga pocztowa. Trakty te, wygodne bardzo dla ówczesnej komunikacji, zawdzięczamy Katarzynie, która kraj nasz nimi porznęła. Podania niosą, iż w celu zachowania zasadzonych drzew przy traktach od niszczenia, zastosowane były względem szkodników surowe kary, poczynające się od batóg, a kończące ucięciem prawej ręki. Wobec panującego dziś jeszcze szkodnictwa ludu naszego, od którego żadne się niemal przydrożne drzewo uchronić nie daje, — łatwo rozumieć, iż tylko obawa srogich kar zdołała ocalić brzozy na gościńcach, które były i są jeszcze w wielu miejscach ozdobą i wygodą, dając latem miły cień, a zimą służąc za drogowaskazy. Piękne te, wysadzone gościńce upadły już i zmarniały mocno od czasu ustanowienia parowej lokomocji. Dziś głuche i puste, — wówczas pełne były ruchu i życia. Ciągnęły niemi tabory wozów z towarami, dzwoniły pocztowe bryki, przesuwwały powozy i przebiegały sztafety. Podróże pocztą acz w wielu razach uciążliwe, miały swą, latem zwłaszcza, i miłą stronę, odkrywając szerzej, niż okna wagonu widnokręgi krajowe i obrazy natury i dając często wesołe przy spotkaniu znajomych popasy oraz swobodne wypoczynki.

Z Mińska biegły trakty: Kojdanowski ku Nowogródkowi, wileński ku Wilnu, borysowski do Borysowa i ihumeński, prowadzący do Ihumenia. U wylotu z miasta

na ten trakt ostatni, wznosi się więzienie, architektura swą przypominające zamki średniowieczne. Wówczas zwłaszcza, gdy wiedziano, iż wnętrza jego zamykają wszystkie rodzaje ówczesnych kaźni, eszafoty, knuty i przęgierze.

Widok tego gmachu, wywołując ponure wrażenie, zwracał ludzi w weselszą stronę, ku lasowi Dobrej-Mysli, gdzie dziś bieży ulica tejże nazwy i rozwija młoda nowa dzielnica, porznięta szynami kolejowemi.

W owe czasy ulica Zacharzewska, wychodząca na trakt Kojdanowski, urywała się zaraz, za obecną posesją Towarzystwa Rolniczego. Zamykał ją szereg niskich, drewnianych domów, poza którymi, już na trakcie, stała samotnie tak zwana Kamienica Williamsa. Była to również droga przechadzek i wycieczek miejskich, kończących się w cieniu drzew i gajów w stronę Łoszycy Niemodziańskich lub Łoszycy Prószyńskich, dwóch majątności blisko siebie leżących a znanych z gościnności.

Miasto, wyciągając coraz dalej swe ramiona, pochłonięto już znaczną część tej przestrzeni, tworząc zrazu rozgałęzioną murowaną dzielnicę, spadającą stopniowo do niższych drewnianych zabudowań.

Inne przedmieścia i wyloty miasta mniejszej uległy zmianie. Perespa, na trakcie wileńskim, zachowała dotąd ten sam charakter, jaki miała przed półwiekiem. Tylko poza nią, dalej, w miejscu dawnych lasów, falują dziś łany zborza, rumienia się warzywa, świecą nowe osady i kolonje, kwitnące nowem życiem. W drzemce letargicznej leży przeważnie dawna dzielnica tatarska ku Kalwarji, poza którą wyniosłość, zwana Wilkową Górą, była również celem dalszych przechadzek.

XII.

W końcu lata znów się ukazała cholera w Mińsku. Pierwszą jej ofiarą padł stary kupiec, Jan Rogów, nader znana i popularna osobistość w Mińsku. Świadczył on wiele Bernardynom i niósł pomoc wszystkim w potrzebie i nieszczęściu.

Zaraz po nim zmarły z cholery—panna Łopattówna i Borodiczowa, co zwiększyło popłoch i przerażenie. Epidemia poczęła się gwałtownie szerzyć wśród proletariatu żydowskiego. Dotknięci chorobą zmierali w strasznych męczarniach w ciągu godziny. Wobec tak ostrej formy, pomoc lekarska była bezsilna. Przy pierwszym pojawieniu się w Mińsku epidemia miała o wiele łagodniejszy przebieg.

Zmógłszy tak wiele osób, cholera już w sierpniu zanikać poczęła. Zarazki jej jednak były tak silne, iż świeżo przybywający do miasta ze wsi zaraz chorobom żołądkowym ulegali.

W tym czasie uroczystości rodzinne w domu Spasowiczów, tak zrosłych z miastem, odwróciły ogólną od epidemii uwagę. Córką Spasowiczów, Adela, poślubiła właśnie Harforda, obywatela gub. wołyńskiej. Na ślub siostry przybyli jej bracia, słynny następnie mecenas Włodzimierz, profesor szkoły wojskowej w Petersburgu i Cyprian, oficer siemionowskiego pułku gwardji.

Ślub młodej pary odbył się w katedrze, którą przepełniał tłum ciekawych a życzliwych rodzinie Spasowiczów, osób. Cyprian Spasowicz, jako były uczeń Szablowskiego, odwiedził go w domu, czem stary nauczyciel był bardzo ujęty. W tym roku, wskutek słabego zdrowia, Szablowski się usuwa od wykładów na pen-

sjach żeńskich i od wielu korepetycji. Na prośbę jednak p. Naborowskiej, z której rodziną Szablowskiego łączyły przyjazne stosunki, przygotowuje starannie jej syna, Jana, wstępującego do gimnazjum.

W szkole liczba nauczycieli rosjan wciąż się zmniejsza. Dałmatow, mianowany został prefektem szkół w Mozyrzu, a do Mińska przybył, rodem z Królestwa, Żbikowski, jako nauczyciel matematyki.

Wkrótce wileński Okręg Naukowy wyjęty został z pod władzy jen.-gubernatora, a oddany czasowo w za-wiadywanie tajnego radcy Grubera. Jednocześnie niemal ustąpił ze stanowiska Bibikow, a miejsce generał-gubernatora zajął Nazimow.

Zmiany te budziły, jak zwykle, pewne trwogi i nie-pokoje.

Jeszcze we wrześniu przeciągały przez Mińsk pułki, dążące do Krymu, które miasto musiało przyjmować ze składek ogólnych. Przeciągała i milicja Jarosławska, którą musiał przeprowadzać do Bobrujska dr. Komocki.

W końcu roku 1855 wszystkie produkta żywnościowe tak nagle zdrożały, iż mieszkańcy mocno tem przerażeni byli. Koszt życia podniósł się więcej niż w dwójnasób. Beczka pszenicy lub żyta, bo jeszcze nie na wagę, lecz na miarę zboże sprzedawano, urosła w cenie do 20 rs. Za beczkę grochu płacono 16 rs. Za beczkę jęczmienia 12 rs., owsa 8 rs., gryki 9 i kartofli 4 rs.

Beczka siemienia lnianego kosztowała 15, a konopi 10 rs. Za garniec kaszy płacono 20 kop., za funt szynki 16 kop., za funt słoniny 15 k., za funt grzybów białych

60 kop. Kura kosztowała 65 k., a gęś 75 kop. Ceny więc dosięgały do wysokości dzisiejszej, która nas nie razi, ale przed półwiekiem, gdy waluta rubla inną była, gdy niedawno przed tem faskę masła ceniono parę rubli, a beczkę owsa, dostawioną końmi do Wilna, sprzedawano po 1 rb. 50 kop., zwyczaj ta nagle budziła słuszną panikę wśród uboższych warstw miejskich.

Na drożyznę tę składało się, oprócz wojny Krymskiej, wiele innych ekonomicznych przyczyn, jak kilkolatni nieurodzaj, cholera i pomór bydła.

W notatkach Szablowskiego znajdujemy wzmiankę o wysokiej cenie opału. Szażeń bowiem suchego, brzozonego drzewa, płacony, wraz z dostawą do Mińska, sześć, maximum sześć i pół rs., — podniósł się do siedmiu i ośmiu rs.

Co na to my, dziś żyjący, płacąc po 20 kilka rs. za takiż szażeń drzewa, — odpowiedzieć możemy?..

Cyfry jednak powyższe cen opału w r. 1855 stanowią ciekawy porównawczy materiał do ekonomicznych dziejów kraju.

A gdy tak w Mińsku ludziska kurczą się i stękają, nadbiegła z Krymu wiadomość, iż armja sprzymierzonych, pod dowództwem generała Pellisier, zdobyła już część fortecy Sewastopolskiej.

Nowy rok 1856 rozpoczął się wśród grzmotu dział i niepowodzeń wojennych. Tajono je wprawdzie, ale echa wypadków płynęły wraz z wiatrem, wpadając do uszu ludzkich.

Zajęte sprawami własnymi miasto, mniej się już wsłuchiwało w odgłosy wojny, nie budzącej pomyśl-

niejszych dla kraju nadziei. Śmierć nagle Marjana Kistera, znanego obywatela miasta, przypadła w dzień Nowego Roku, poruszyła wszystkich. Zamożna rodzina Kisterów, posiadająca kilka posesji, oddawna osiedlona w Mińsku, była niby częścią jego. Nie przebrzmiały jednak jeszcze dzwony żałobne, gdy nowy wypadek, do nader jeszcze rzadkich zjawisk należący wówczas, wstrząsnął miastem. Oto policmajster Bućko wraz z żoną Montegrandziówną z domu, córką Montegrandich, utrzymujących znaną pensję, wyrzekł się wiary katolickiej, przyjmując obrządek wschodni, po dopełnieniu chrztu w Soborze.

Po 1863 r. wypadki podobne trafiały się, niestety, częściej. Pożądanie kariery, pieniędzy a czasem kęsa chleba, odmawianego katolikom, więcej rodziło judaszów. Wówczas jednak, zmiana wyznania była faktem niezwykłym i grozą oburzenia przejęła mieszkańców. Bućko, jako człowiek, nie cieszył się też sympatją u ogółu. Był jednym z największych prześladowców żydów, którym właśnie niedawno zabroniono nosić pejsy i używać starodawnego wielce charakterystycznego stroju.

Strój ten składał się z czarnego, długiego żupana, spiętego u bioder pasem i wysokiego futrzanego kołpaka na głowie, z pod którego spadały około policzków długie, przeważnie rude loki, zwane pejsami.

Zamożniejsi nosili kołpaki sobolowe, ubożsi kontentowali się lisiemi.

Przywykłym do swego narodowego stroju żydom, trudno się było z nim rozstać. Starsi zwłaszcza, pomimo zakazu, wciąż go przywdziewali. Z rozkazu Bućki łapano na ulicach tych starozakonnych konserwa-

tystów i przyprowadzano do policji, gdzie, zdzierając kosztowne nieraz kołpaki, Bućko ich bił i kazał strzyż jak owce.

Bućkowie zaraz się ulotnili z Mińska, przenosząc do Rosji, bo po dokonanej rewizji, w kraju pozostać nie mogli. Ogół polski był podówczas jeszcze bardzo czuły na wszelkie grzechy religijno-narodowe i karał je słusznym ostracyzmem. Oburzył się więc ponownie, gdy córka Placyda Jankowskiego, syna wprawdzie parocha unickiego, ale uchodzącego za polaka i piszącego utwory powieściowe po polsku, poślubiła nauczyciela gimnazjum, Wasiljewa, tworząc małżeństwo mieszane.

Placyd Jankowski był w swoim czasie dość znanym literatem, piszącym pod pseudonimem John of Dycalp. Jego powieści tchnące prostotą i moralnością, chętnie były czytowane. Dziś się z nimi spotkać jeszcze czasem można u antykwaryuszów miejscowych i wileńskich. W rzędzie ówczesnych powieściopisarzy polskich, imię Jankowskiego spotykało się zawsze.

Niedługo potem, rodzina Jankowskich, za polską uważana, wyłoniła się w innych szatach. Syn Placyda, acz żonaty z polką, Okuliczówną, był już prawosławnym urzędnikiem akcyzy i mówił przeważnie po rosyjsku.

I do rodziny Okuliczów, stanowiących gałąź mińską, mieszane małżeństwa wniosły sporo obcych pierwiastków. Miejscowa jednak linja męzka, jak się zdaje, zupełnie wygasła.

W tym mniej więcej czasie zmarł w Mińsku zamożny nader obywatel, Tytus Szyszko, którego nader pontyfikalny pogrzeb ściągnął tłumy, jak z miasta, tak i ze wsi.

W lutym Mińsk powitał nowego jen.-gubernatora

Nazimowa. Zwiedziwszy wszystkie instytucje i zakłady naukowe, zatrzymał się dłużej w pensjonacie szlacheckim, gdzie się też zebrało i miejscowe pedagogiczne ciało. Chwaląc porządek i czystość, rozpytywał o wszystkie szczegóły życia tej instytucji, zaczepiał wielu uczniów, w galowe przybranych mundurach i odjechał, wyrażając swe zadowolenie ku radości uczniów i nauczycieli, drżących ze strachu o naganę lub wymówkę potentata.

XIII.

Pierwszą źródłową wiadomość z terenu wojny przywiózł do Mińska wracający z Sewastopola, ranny Witold Godaczewski, sztabs - kapitan Helsingforskiego pułku strzelców, stryjeczny pani Szablowskiej.

W bitwie nad Czarną - Rzeką Godaczewski stracił lewą rękę. Podjęty z pola, usłanego trupami, męczył się w szpitalu wojskowym kilka miesięcy, gdyż ciężkie rany, długo się zabiżnić nie mogły. Wracał już jako kaleka do domu, niezdolny do pracy. Przyjazd młodego oficera ściągnął wokoło niego mnóstwo ciekawych, wypytujących o tę daleką a mało znaną z gazet i wieści — wojnę. Wedle Godaczewskiego zwycięstwo mocarstw sprzymierzonych przędkiej jej koniec wróżyły.

Istotnie, w końcu marca, Manifest z dn. 21 obwieścił o zawartym pokoju.

Tak tedy burza Krymska, poruszywszy całą Europę, przelawszy sporo krwi, w której i naszej nie brakło, — uśmierzoną w 1856 r. została, rozsiewając w kraju naszym powstające mgły złudzeń.

W kwietniu zmarł w Mińsku z suchot młody Emil Pawlikowski, syn poważanej ziemiańskiej rodziny, osiadłej w mieście i znanej tam dobrze od lat wielu. Śmierć więc ta wywołała szczere współczucie w szerszych kołach, zostosunkowanych z rodziną Pawlikowskich. Przed samą Wielką nocą, w piękny dzień kwietniowy, wybuchł w mieście wielki pożar, obejmując część ulicy Kojdanowskiej i kilka posesji, przylegającej doń w końcu ulicy Zacharzewskiej. Straż ogniowa nie była ani tak zręczną, ani tak zaopatrzoną w narzędzia ratunkowe, jak dzisiaj. Trudniej więc było stłumić pożogę, iskry której szerzyły je wśród drewnianej przeważnie dzielnicy.

Szabłowski notuje, iż gdy wyszedł w kółku znajomych na przechadzkę za miasto, nagle runął za nimi straszny krzyk ludzki i kłęby czarnego dymu załoniły powietrze. Gdy zdyszani dopadli z powrotem do miasta i znaleźli się na placu katedralnym, na rogu ulicy Kojdanowskiej, gdzie wówczas mieszkał Szabłowski z rodziną, tłum ludu był tam już tak wielki, iż literalnie przez tę zwartą masę przecisnąć się było niepodobna. Zdaleka jednak biedny nauczyciel postrzegł skaczące płomyki na dachu domu, w którym mieszkał... A tam była jego żona i jego dzieci!.. Można sobie przedstawić uczucia człowieka, przykutego do miejsca, a patrzącego na płomienie, ogarniające wszystko, co miał najdroższego na ziemi... Gdy jednak polecał tylko rodzinę Bogu, dobrzy ludzie już pomoc jej nieśli. Wpadł najprzód Bolesław Hłasko, wynosząc na wół zemdloną kobietę, a nadbiegli uczniowie wychwycili dziatwę i cały dobytek, tak, iż, gdy przyleciał ks. Terajewicz, przyjaciel rodziny oraz kole-dzy-nauczyciele Gan i Hermuth i inni, już całe niemal mieszkanie opróżnione było.

Gdy Szabłowski docisnął się wreszcie do domu, już i pożar zgasł i cała rodzina w bezpiecznem znajdowała się miejscu. Nic nie uległo szwankowi. Ucierpiały jedynie mazurki i pierogi, mające być okrasą Wielkanocnego stołu. Ratunek ten świadczył wymownie o przywiązaniu uczniów i życzliwości ludzi, jaką się Szabłowski cieszył.

W końcu kwietnia ukazało się w Mińsku wojsko, wracające z Krymu. Najprzód przeciągnęli kozacy Gwardji Cesarskiej, a za nimi kolejno inne pułki. W czasie przejścia ułanów przez Tatarski-Koniec, jeden z oficerów nagle sobie palnął w łeb. Okazało się, iż roztrwoniwszy pieniądze rządowe, nie miał innego wyjścia.

Samobójstwa należały podówczas do tak rzadkich wypadków, iż śmierć nieznajomego oficera wywołała żywą w mieście sensację.

Dnia 26 lipca Mińsk obchodził uroczystość koronacji Cesarza Aleksandra II w Moskwie. Miasto tonęło w morzu illuminacyjnych ogni, urządzając kosztem swym przyjęcie dla pospólstwa. W dniu tym wszystkie instytucje były zamknięte i nieczynne, a w gimnazjum, dokąd przybyło wielu uczniów powołanych ze wsi, odbyło się przedstawienie amatorskie, zakończone taneczną zabawą, w obecności gubernatora i innych dostojników miejscowych.

Tejże jesieni nowy, bardziej liberalny Monarcha, wchodząc w potrzeby ludności polskiej w Mińsku, zezwolił raczyć na wykłady języka polskiego w gimnazjum. Na nauczyciela powołany też zaraz został Florjan Czepieliński, autor gramatyki polskiej. Zniesiony jednocześnie obowiązek lokowania uczącej się dziatwy na

kwaterach uczniowskich, dawał rodzicom i opiekunom pełną swobodę pod tym względem.

Kwatery uczniowskie miały, pomimo dozoru nauczycieli, wiele stron ujemnych. Już władze gimnazjalne zamknęły parę kwater, wskutek braku dozoru nad uczniami, którzy się takich swawoli i awantur dopuszczali, iż kilku musiano usunąć z gimnazjum, po wielu przykrościach ze strony rodziców.

W tym czasie wyleciał z gimnazjum dyrektor Deśnicki, który coraz bardziej nadużywał swej władzy. Kilku nauczycieli podało do kuratora skargę na niekulturalne postępowanie względem nauczycieli i uczniów. Wieść niosła, iż jeden z kończących szkołę uczniów, wychowaniec pensjonatu szlacheckiego, skazany niesłusznie przez dyrektora na różgi, palnął Deśnickiemu w policzek i uciekł ze szkoły.

Wobec tego Deśnicki musiał podać się do dymisji, a na jego miejsce naznaczony został były prefekt szkół pińskich, Belli. — Jednocześnie niemal na posadę inspektora, którą zajmował Gan, powołany został Straszynski, nauczyciel matematyki w instytucie wileńskim. Kuratorem Wileńskiego Okręgu Naukowego został ks. Szyrski-Szachmatow.

Z powodu fluktuacji ekonomicznych i drożyzny życia, podniesiono wszystkim nauczycielom, tak jak i innym urzędnikom, roczną pensję.

XIV.

Rok 1857 zdawał się zapowiadać nieco lepszą przyszłość. Od Tronu raz po raz spadały pewne ulgi i łaski,

znosiły się różne restrykcje. W atmosferze powiały jakieś swobodniejsze prądy.

Wdzięczni za to ziemianie gub. mińskiej, w sercach których już i wówczas kiełkowała polityka ugodowa, zakupili solenne nabożeństwo w katedrze, dziękując Bogu za te dobrodziejstwa i za Monarchę, który je udzielił.

Usunięcie pewnych restrykcji sejmikowych budziło nadzieję, iż następne elekcje z większą dla kraju korzyścią załatwiać się dadzą. Oczy polityków zwracały się na Petersburg, z nietajoną otuchą i nadzieją.

Tymczasem ogół miejski trwożyła wieść o mającej się ukazać komecie, która, stykając się z ziemią w dniu 1 czerwca, spowodować miała skończenie świata. Wiadomość ta podana najprzód przez gazety niemieckie, powtórzona przez polską prasę, obiegając z ust do ust, rosła wciąż w bajeczne dodatki, siejąc panikę wśród ciemnych warstw niższych. Żydzi nawet zdradzali pewien niepokój, przyznając się, iż i ich Talmud o końcu świata w tym terminie mówi. Ze strachem więc wyczekiwano 1 czerwca, a tymczasem życie biegło unosząc ze sobą ludzką falę.

Ponieważ kurator Pawlikowski usunął się od tego honorowego stanowiska, obranym był na jego miejsce jeden z rozumniejszych ludzi owego czasu, marszałek Tomasz Narkiewicz-Jodko, który, zwiedzając po raz pierwszy pensjonat szlachecki, zwrócił się do uczniów z serdeczną przemową, która wielu młodzieńców głęboko wzruszyła.

Liczba ogólna uczniów w gimnazjum wynosiła podobnie 538, z których około 80 prawosławnych i kilku żydów.

W początkach marca, na same ostatki, przybył z

Sewastopola do Mińska młody oficer marynarki, Jan Konarzewski. Dyrektor Belli, blisko z nim zestosunkowany, wydał na cześć jego wieczór tańczący, zapraszając nań i całe gremjum nauczycielskie. Starsi ludzie otoczyli wnet młodego oficera, słuchając ciekawych jego opowiadań o flotach cudzoziemskich i bitwach morskich. Każdy miesiąc w czasie wojny liczył się oficerom za rok służby, tak, iż Konarzewski, w wieku lat 25, miał już 17 lat służby. Otwierała mu się droga do prędkich dalszych wakansów i wróżyło świetną przyszłość. Istotnie, pomimo swej narodowości polskiej, utrudniającej zawsze do zaszczytów drogę, wzniósł się szybko po drabinie rang i stopni i—doszedł do szczytu,—zostając admirałem.

Pomimo swej marynarskiej kariery, Konarzewski pozostał do końca dobrym obywatelem kraju.

W owych czasach, gdy ani kawał ziemi nie wychodził z rąk miejscowej szlachty, ks. Leon Radziwiłł sprzedał swe rozległe Borysowskie dobra wielkiemu księciu Michałowi Mikołajewiczowi, co z biegiem lat przyczyniło się nie mało do dzisiejszego zrusyfikowania Borysowa i jego okolic.

Dzień 1 czerwca, w którym się ludzie już na Sąd Ostateczny gotowali, przeszedł spokojnie, acz do ostatniej chwili wyczekiwano wciąż katastrofy z komety. Dnia tego tylko opuścił miasto na zawsze znany w sferach mińskich malarz Szemesz, człowiek chorowity i nerwowy. Poślubił później Kamillę Chelchowską i przebywał czas jakiś w Galicji, we Lwowie. Potem wyjechał podobno do Paryża, gdzie życie zakończył. Żona jego, acz również rodem ze stron mińskich, nigdy już nie wróciła do kraju.

Była w Mińsku podówczas postać osobiwa, zwra-

cająca na siebie uwagę na ulicy, z powodu niesłychanie długiego kołtuna, spadającego na plecy. Wprawdzie, w owym czasie, epoce kołtunów, często się spotykało ludzi, zwłaszcza z warstw niższych, z kołtunami na głowie. Ale takiego jak nosił ks. Birolt, nikt nie posiadał. Choroba ta, jeśli ją tak nazwać się godzi, nie była wcale rozpowszechniona wśród duchowieństwa i ks. Birolt przedstawiał jedyny jej okaz.

Wiara w kołtuny, wytwór niechlujstwa ludu polskiego, tak była podówczas silną, iż ulegali jej niektórzy lekarze nawet, radząc we wszystkich łamaniach i bólach reumatycznych, „zapuszczać“, jak mówiono wówczas, kołtun, to jest nie cesać głowy i dać włosom możność zwinąć się w brudny kłak, wciąż rosnący na głowie.

Pamiętnik Szablowskiego urywa się w tem miejscu i milczy do roku 1861, — opuszczając najciekawsze przedpowstaniowe chwile życia mińskiego. W owym jednak czasie było ono zwykłym tępem jeszcze, a wpływ ziemiaństwa rósł, we wszystkich jego przejawach.

W r. 1858 odwiedził ku jesieni Mińsk Cesarz Aleksander II.

Brak nam wielu danych do owej chwili, która w życiu Mińska pewną stanowiła epokę.

Wiemy jednak, iż przyjazd Cesarza budził wśród wybitniejszego ziemiaństwa pewne polityczne nadzieje i że ono wysadzało się na jego przyjęcie, manifestując szczerze swe uczucia, wiecznie wypływające z owych

ugodowych krynic, któremi polityczny rozum miejscowych dyplomatów był przesiąknięty.

Mińsk długo się gotował na przyjęcie Monarchy, który z Wilna pocztą, bo innej komunikacji nie było, miał przybyć. Całe miasto było odświeżnie przybrane i odświeżone, apartamenta dla dostojnego Gościa urządzone z całym przepychem, na jakie miasto i okolice stać mogły. Magnateria miejscowa przysłała taką masę srebra i kryształów, iż pod ciężarem pierwszego uginały się stoły w szlacheckim domu w Mińsku.

Zjechało się całe obywatelstwo z rodzinami, bo na uczczenie Cesarza wielki się bal gotował.

Oczekiwano tylko sztafety, dającej znać o chwili przybycia.

Cesarz Aleksander jechał w otoczeniu swej licznej świty, zatrzymując się na stacjach, gdzie zmieniano konie i gdzie czekały najpyszniejsze z okolicy zaprzęgi ziemiańskie. Na każdej niemal stacji spotykało go ziemianstwo. Gdzie się miał dłużej zatrzymać, czekało go przygotowane przez sąsiednich obywateli — śniadanie. Na tych improwizowanych stacjach, na przyjęciach, pił chętnie, chwając słynną starke litewską.

Kobiety spotykały przejeżdżającego Monarchę z buketami w ręku. Cesarz był grzeczny i uprzejmie rozmawiał z prezentującym się mu ziemianstwem.

Na wielu stacjach nie wysiadał wcale i nie wychylał się z powozu, tak, iż ciekawą, przybywających na stację, ujrzeć Cesarza w szeregu karet nie mogli. Tak było i w Mołodecznie, gdzie kilka pań z okolicy, daremnie go czekało. Do Mińska, jaśniejącego iluminacją, Cesarz przybył około północy, witany przez wszystkich dostojników miejscowych.



Świętorzecki Bolesław.

Nazajutrz, otoczony liczną świtą, z fligiel-adjutantem Orłowym u boku, Cesarz ukazał się w Soborze, wstępując następnie na chwilę do katedry, gdzie go uroczyście powitało duchowieństwo z biskupem na czele.

Przed Soborem właśnie panna Kluczkowska, o czem pisaliśmy wyżej, padła mu do nóg, z prośbą o wrócenie ojca z wygnania. Dyplomaci obawiali się z tego powodu niezadowolenia Monarchy, ale incydent ten nie zepsuł pogody ogólnej.

Czy przy prezentacji i składaniu należnego Panującemu hołdu przez wybitnych ziemian, dziękujących za doznane już łaski i ulgi, była dotykana kwestja potrzeb krajowych, wątpić z wielu względów należy.

Rzecz ta zresztą, nie wybiegając z sali recepcyjnej na miasto, pozostała w tajemnicy przodowników ówczesnego społeczeństwa.

Na bal, uświęcony obecnością Cesarza, kazano wszystkim panom mieć wygolone twarze. Ogół poddał się temu bez opozycji, z wyjątkiem Bolesława Święto-rzeckiego, narzeczonego podówczas Laury Zawadzkiej, kuzynki marszałkowstwa Horwathów, pięknej i bogatej panny. Młody kawaler, stanowiący wówczas pierwszą w Mińszczyźnie partję, żałował swej hiszpańskiej bródki i wołał nie być na balu.

Cesarz, wchodząc na salę, zwrócił się najprzód do witających go fmatron, z których jedna, siwa jak gołąb, z białemi różami na głowie, na kilka grzecznych słów, wyrzeczonych przez Cesarza po francusku, odrzekła z niskim ukłonem, wskazując kwiaty na głowie.

— Sire, pour Votre Majesté, les roses fleurissent sur la neige.

Cesarz, rzucając grzeczne komplementa damom, za-

trzymał wzrok na pięknej, wysmukłej postaci Laury Zawadzkiej i zbliżył się do niej, a dowiedziawszy się, że ma narzeczonego, zapragnął go widzieć. Świętorzeckiego z powodu niegolonej twarzy nie było na balu. Zmieszali się nieco wszyscy i natychmiast po niego wystali. Jak się to jednak pokaże z zarostem na twarzy? Myślała niepokoiła gospodarzy balu, gdy Cesarz, rzucając grupę dam, przeszedł do grupy mężczyzn, błyszczących swymi szlacheckimi mundurami, ze szpadą u boku i wywieszonymi na piersiach orderami.

Wówczas to Cesarz zrobił uwagę staremu Władysławowi Świętorzeckiemu, iż krzyż Legii Honorowej z orderem rosyjskim, umieszczonym obok, nie harmonizują z sobą.

Mówiąc z panami, przedstawicielami całej miejscowej arystokracji ziemiańskiej, Cesarz zapomniał o narzeczoną piękną panną, którego chciał widzieć. Sprowadzony Bolesław Świętorzecki, który swej brody poświęcić nie chciał, krył się w przyległym pokoju, w oczekiwaniu na wypadek przywołania go przez Cesarza. Z kim Aleksander II rozpoczął tańce, co wówczas pewne znaczenie miało, niestety, nie wiemy. Kroniki nie zanotowały tego faktu, a ustne podanie uleciało z pamięci.

Po paru etykietalnych tanecznych tourach, Cesarz bal opuścił. Wówczas Bolesław Świętorzecki ukazał się na sali tryumfując z ocalonej swej brody.

Ziemiaństwo było ujęte miłym obejściem Monarchy, który też zdawał się być zadowolonym z przyjęcia, co też głośno odjeżdżając oświadczył.

Pozornie horyzont wyjaśniał się coraz więcej i niewiele osób dostrzegało czarne obłoki, gromadzące się z

boku, by zławszy się w ciężką chmurę zagrznieć piorunową burzą.

Była to ostatnia bytność koronowanej głowy w Mińsku. W ciągu następnego pół wieku nikt już z panujących do grodu nad Świsłoczą nie zajął.

Zima 1858 r. przeszła naogół w ożywionym nastroju. Strumień życiowy płynął spokojnie, rozpryskując na drobne interesy powszednie.

W sferach ziemiańskich, przodujących społeczeństwu, unosiła się, wśród jednostek przeważnie, myśl uwłaszczenia lub oczynszowania włościan. Nie znajdowała ona jednak jeszcze szerszego poparcia u ogółu, ani też przychylnego ku tym projektom poglądu w rządzących sferach.

Średnie pracujące warstwy miejskie mało mając czasu na wglądanie w polityczne lub społeczne sprawy, przyjmowały ich objawy dość biernie, jak ludzie pozbawieni wpływu na wypadki bieżące, ciesząc się jedynie lub smucąc odpowiednio do okoliczności.

Wobec swobody lokaty uczniów, zniechęcenia do ogólnych kwater a przepelnienia pensjonatu szlacheckiego, ziemianie zaczęli umieszczać swą działalność w domach prywatnych, zwłaszcza zaś u nauczycieli, z których Szablowski miał największą prefację. Wychowywali się u niego synowie znanych w Mińszczyźnie rodzin, — bracia Pawlikowscy, Wiszniewscy, Garglinowicz, Świeżyński, Obrapalski, Starzycki i inni.

Cena za stancję wraz z korepetycją wynosiła zrazu 150, — potem zaś 200 rs. Tak wciąż było pełno malców,

iż nauczyciel musiał odmówić z żalem godnej pani ze Sluczczyzny Woyniłłowiczowej w przyjęciu jej syna.

Szablowski opracowywał wówczas mapę południowego nieba, w czym mu dopomagał uczeń VII klasy, Karpowicz. Obaj pracowali nieraz po nocach. Mapa została tak doskonale zrobioną i wyretuszowaną, iż ją dyrekcja uznała za godną do przedstawienia władzy wyższej.

W tym czasie odbywały się w gimnazjum konferencje nauczycielskie przy udziale dyrektora, mające na celu, wobec słabego postępu uczniów w naukach, zbadać nadsyłanych przez kuratorjum do dyrekcji podręczników, których się nauczyciele obowiązani byli pilnować w wykładach. Każdy z nauczycieli musiał wypowiedzieć swe zdanie, w kwestji przedmiotu wykładanego.

Sesje te wykazały, iż wiele podręczników nie przedstawia żadnej naukowej wartości, a tylko utrudnia wykłady. Pedagogiczne narady, możeby w przyszłości przyniosły jakiś pożytek dla młodzieży pod względem wychowawczym, gdyż ministerjum oświaty przygotowywało podówczas szereg reform szkolnych, gdyby nie nadchodzące wypadki, które myśl ludzką w inną odwróciły stronę. Tymczasem dozwolono uczniom, kończącym chlubnie szkołę, wstępować do uniwersytetu bez egzaminów. W Mińsku w owym czasie, personel nauczycielski składał się głównie z polaków. Liczba nauczycieli rosła, upadając stopniowo, wynosiła zaledwie czterech. Ubywających zastępowali kolejno światlejsi i bardziej wykształceni ludzie. Rozumne a baczne oko honorowego kuratora Jodki wglądało wszędzie, a wychowanie młodzieży zaczynało wstępować na pomyślniejszą drogę.

Wielu jeszcze synów ziemiańskich kształciło się po za gimnazjum, w domu, zaglądając potem do wyższych zakładów krajowych i zagranicznych, lub po prostu na wychowaniu domowym. Zdziwienie więc było wielkie, gdy jeden z takich paniczów, Śniadecki, będący już urzędnikiem w kancelarji gubernatora, zechciał złożyć egzamin w gimnazjum na maturę. Powołano więc całe gremjum nauczycielskie na ów niezwykle egzamin, który dla młodzieńca wypadł nader pomyślnie.

W owych czasach zaszedł w Mińsku wypadek, który mocno poruszył całe miasto.

Młodziutka Bazylija Zdanowiczówna, córka znanej w mieście rodziny, zaraz po ukończeniu pensji Szejderowej, zaręczona została z młodym ziemianinem Protasewiczem, który się gorąco rozkochał. Dzień ślubu już byłznaczony i kawaler, urządziwszy dom na przyjęcie młodej żony, przybył z liczną asystencją do Mińska.

W domu Zdanowiczów wszystko też było do weselnych godów przygotowane. Panna młoda ubierała się do ślubu. W katedrze zapłonęły światła i ksiądz czekał u ołtarza.

U wejścia do świątyni, tłumy znajomych i ciekawych gapili się oczekując przybycia orszaku weselnego.

Pan młody już nadjechał. Panna młoda się opóźniła.

Szeptano, że cudownie w ślubnym stroju wygląda, że wraz nadjedzie. Pan młody się niecierpliwił... Nagle wpadł jakiś powóz, zrobiło się zamieszanie.

— Ślubu nie będzie!.. panna młoda umarła!..

Kto rzucił te słowa, nikt nie wiedział. Wkrótce już jednak podawano z ust do ust, iż w chwili, gdy matka

przypinała wianuszek mirtowy do głowy kłęczącej w ślubnej sukni Bazylji, ta padła martwą.

Mówiono, iż serce jej, ze zbytku wzruszenia, — pękło. Rozpacz rodziców i narzeczonego nie miała granic. Protasewicz chciał się targnąć na własne życie. A ona leżała już na katafalku, w swym wieńcu mirtowym, w zwojach przezroczystego woalu, tak biała, jak ślubna okrywająca ją szata...

Cały niemal Mińsk chodził nawiedzić zmarłą. A widok tego białego kwiatu, podciętego kosą śmierci, w chwili rozkwitu, nie jedną łzę wyciskał.

Zwłoki jej złożono na Złotej-Górze, a na skromnym pomniku narieczony wyrzył wierny a serdeczny wiersz ostatniego pożegnania...

Przed paru laty wiersz ten był jeszcze czytelny, choć już mogła należeć do rzędu tych zapomnianych i zaniedbanych, jakich się już wiele na cmentarzu Złotogórskim znajduje.

Te same organy, które już uderzały w nutę Veni Creator, zabrzmiały ponurym dźwiękiem pogrzebowego marsza, jakim się owa tragedia życiowa skończyła.

Jeszcze się nie zatarło wrażenie tego dramatu, gdy ślub dyrektora Belli z panną Krywoszejn, ściągnął do Soboru, gdzie młodą parę błogosławił archierej, wszystkich rządowych dygnitarzy miasta oraz cały personel nauczycielski, zaproszony przez nowożeńca na poślubną herbatę.

Był wówczas w Mińsku głośny lekarz wojskowego szpitala, Krywoszejn, człowiek dobry i ojciec kilku

córek, znanych w mieście ze swej piękności i żywego temperamentu. Jedną z nich właśnie poślubił dyrektor Belli. Inne, wraz z ojcem, odegrały pewną rolę w 1863 r., okazując rannym, zwożonym do szpitala, wiele serca, uprzejmości i usług niezwykłych.

Rodzina ta zostawiła po sobie z czasów owego politycznego dramatu dobrą i sympatyczną pamięć.

XVI.

Nadciągnął rok 1860. Do kraju napływać zaczynały jakieś niezwykle prądy, które tylko jeszcze odczuwały wyżyny społeczne. Posępniały wprawdzie poważniejsze czola, ale życie biegło i szumiło jak zawsze.

Wrzesień tego roku, niezwykle ciepły, huczał burzami, jakich w tej porze roku najstarsi nie pamiętali ludzie. Pioruny wzniecały wciąż pożary w okolicy, a w Mińsku spaliły koszary i zabiły paru ludzi.

W tym czasie przyjeżdżał na dni parę do Mińska w interesach kościelnych metropolita Żyliński, rzadki gość, na celebrach którego w Katedrze i u Bernardynów zbierał się tłum ludu. Witało go też z należną czcią i duchowieństwo i ziemiaństwo.

Wkrótce potem klasztor Benedyktynek, w którym zaledwie kilka było już zakonnic, stracił starszą ze swego zgromadzenia, Jaźwińską, spokrewnioną z kilku ziemiańskimi domami, śmierć której, jak zagasłe echo przeszłości, smutne budziło wrażenie.

Szablowski, notatnik którego znów się zapełniać zaczyna, zwraca uwagę na brak pieniędzy, jaki się w owym czasie w Mińsku odczuwał. Ruchome zwykle ka-

piły skryły się gdzieś po wojnie krymskiej. Trudno było dostać paręset nawet rubli. Ekonomiczny ten kryzys paraliżował niezmiernie obroty handlu miejscowego.

Późną jesienią odwiedził Mińsk kurator Naukowego Okręgu wileńskiego, ks. Szyryński-Szachmatow, zwiedzając gimnazjum i pensjonat szlachecki. Chciał on przenieść Szablowskiego do Wilna na taką samą, lecz nieco lepiej uposażoną posadę. Stary jednak nauczyciel żałował się rozstać z uczniami swymi. Udał się więc do Wilna, dziękując za względy, lecz prosząc o pozostawienie na miejscu. Zwiedzając kościoły i pamiątki wileńskie, Szablowski oglądał po raz pierwszy w życiu kolej żelazną, którą tam właśnie budowano, a która miała połączyć Petersburg z Warszawą i zagranicą. Ruch pasażerski jeszcze nie istniał, ale przedsmak tej lokomocji już odczuwali wszyscy.

Ziemiaństwo bawiło się jeszcze wesoło. Jedne rodziny ustępowały z miasta, inne je napełniały. Weselne wspaniałości małżeństwa Bolesława Świętorzeckiego z Laurą Zawadzką jeszcze się nie zatarły w pamięci społecznych. Opowiadają, iż urodziwa i bogata ta para, wpływająca na widownię ziemiańską, ogólnie budziła zajęcie. On, dzielnością swą wybijał się istotnie po nad zwykły poziom. Ludzie się nań oglądali i jakieś niewytłómaczone kładli na nim nadzieje.

Przed ślubem Świętorzecki zbierał cugową piątkę białych ogierów, zdaleka je sprowadzając. Już była dobrana doskonale, gdy nagle koń jeden padł. Brakło mu czasu do wyszukania innego. Przetrażnięto całą okolicę,

a gdy się podobny rumak nie znalazł, pan młody nabył czarnego w Sienicy u Turczyńskiego i kazał pomalować go na białe. W czasie uroczystości weselnych, w których brała udział śmietanka towarzystwa miejscowego, defilował na ulicach pyszny śnieżno biały zaprzęg, który następnie zwrócił na trakt ihumeński, dążąc ku Bohuszewiczom, dziedzictwu pana młodego.

Biała wówczas czwórka parowała u karety, którą jechała sama pani młoda, on zaś, u drzwiczek powozu towarzyszył jej na białym również, ognistym rumaku, konno, prowadząc młodą żonę do domu swego.

Musiał to wszystko wyglądać wspaniale, gdy do dziś dnia tradycje tego festynu weselnego żyją.

W lat kilka potem śmierć zamknęła powieki pięknej Laury do snu wiecznego, a burza krajowa, zmiatając Bohuszewicze z powierzchni ziemi, wyrzuciła Bolesława za granice kraju, skąd już nie wrócił.

Istniał wówczas w Mińsku teatr polski, licznie uczęszczany, acz repertuar jego nie był zbyt bogaty, ani też zbyt wielkie siły artystyczne. Teatr miał jednak powodzenie znaczne. Mieścił się na Wysokim-Rynku w wynajętej kamienicy, bo gmachu teatralnego miasto nie miało.

Atrakcję młodzieży stanowiła jedna z artystek, Maria Drozdowska, koło której kręciło się wielu paniczów. Największym jednak sukcesem cieszył się Julian Lapiński z Bucewicz. Ułożył on nawet pewną krotoczwilę, z główną dla Drozdowskiej rolę, grywaną na mińskiej scenie.

Juljan Łapicki wraz z braćmi—Hektorem i Michałem błyszczeli podówczas na horyzoncie miejscowym. Słynni byli ze swych cugów, którymi każdy oddzielnie zajeżdżał do miasta, choć wszyscy trzej razem jeszcze w Bucewiczach, pod Mińskiem, mieszkali. Nieraz widywano ich zaprzęgi na ulicach lub u bram kamienic, wyciekające na swych panów, składających wizyty. Imię Hektora Łapickiego, tak smutnie następnie zapisane na karcie dziejów naszych, nie miało wówczas żadnej skazy. Młodzi i zamożni kawalerowie witani więc byli mile we wszystkich salonach. Liczono ich wszędzie za dobrych synów kraju. Najstarszy i najpoważniejszy z nich, Juljan, pozostał nim istotnie do końca. Hektor zbrukał się zdradą, a Michał ożenił z prawosławną i życie marnie zakończył.

Ogniskiem niejako życia umysłowego była podówczas księgarnia polska znanego w piśmiennictwie Aleksandra Walickiego, autora „Błędów naszych”. Rozumny ten człowiek o szczerze bijącym polskiem sercu, mógłby wywierać znaczny wpływ w Mińsku, zwłaszcza w chwili budzącego się ruchu narodowego, gdyby nie cechujący go sarkazm, którym wielu ludzi ku sobie zrażał. Miał jednak prawdziwych zwolenników i przyjaciół. Wśród tych, którzy głębiej w duszę jego patrzyli. Księgarnia jego, rozrzucając pośród społeczeństwa książki polskie, budziła zamiłowanie w czytelnictwie, jeszcze uśpionem naogół. Mińsk, jako miasto, przedstawiał się jeszcze wówczas dość pierwotnie. Nie wszędzie nawet chodniki ułatwiały przejście po ostrym i nierównym bruku. Dalsze ulice pokrywały błotniste kałuże, a o wo-

dociągach nikomu się nawet nie śniło. Hotele nie istniały wcale. Zastępowały je liczne zajazdy żydowskie, pozabawione elementarnych wygod. Wiązka słomy, rzucona na łóżko lub brudny siennik, za całe służył posłanie.

Jakkolwiek ziemiaństwo skromniej, pomimo ówczesnej zamożności, żyło i mniej było dbałe o komfort i wygody, musiało jednak jadąc do miasta zaopatrywać się w pościel i wiele innych przedmiotów. Szły więc wozy ładowne w walizy i kufrы, szły bryki ze służbą, a nieraz i z kuchnią. Tabory takie, dążące do różnych zajazdów, wciąż się spotykały na ulicach miasta.

W owym czasie istniała przy teatrze na Wysokim-Rynku jedyna restauracja Cybulskiego. Potem Fogel, żeniąc się z jego córką, otworzył drugą jadalnię na rogu ulicy Franciszkańskiej, lecz po śmierci teścia zwinął ją, zasiadając na miejsce Cybulskiego, pod teatrem, gdzie długie lata przebywał.

Stół nie był wykwintny, ale smaczny i tani. Porcja zupy kosztowała 10, mięsa 20 kop. Wyjątkowe dania były nieco droższe. Skromny też lokal nie rościł pretensji do komfortu i elegancji dzisiejszej. Prostota jego nie raziła ówczesnego pokolenia, mniej niż obecnie nawykłego do zbytków.

Cukierni Mińsk liczył kilka. Zrazu była cukiernia Knobla, która prędko znikła, dalej Elsnera, Dewacego, a wreszcie Tirmana przy Zborowej ulicy.

W życiu wychowanców pensjonatu szlacheckiego cukiernia Dewacego, w byłym domu Kistera na Wysokim-Rynku, pewną odegrywała rolę. Tam bowiem, w bocznej oficynie, mieli swój pokój, gdzie się zbierali i gdzie swe odbywali narady.

Cukiernia Elsnera i Dewacego znikły wkrótce po burzy krajowej, tylko Tirmano dłuższy jeszcze czas istniała.

Nazwiska owych cukierników, zdradzające ich niemieckie pochodzenie, nasuwają pytania, dlaczego nikt z naszych nie chciał wówczas lub nie umiał szukać również na tej drodze fortuny?

W ostatnich przedpowstaniowych czasach spotkała Szablowskiego w cukierni Tirmana niespodziana a serdeczna ze strony studentów, a byłych jego uczniów, owacja. Zebrane kółko akademików bawiło się przy kawie i bilardzie. Na widok dawnego nauczyciela, który do cukierni wstąpił, porwali się wszyscy z miejsc swoich i z radośnym okrzykiem podnieśli go na rękach, aż musiał zburzyć swych kochanych chłopców. Ale rozweselona młodzież usadziła go za stołem i ugaszczła tak serdecznie, iż rozrzucony nauczyciel łzę tylko ukradkiem ocierał.

Miał już w ręku drugą edycję młodzieży i nie puszczając, iż tę pierwszą porwie wnet huragan polityczny, złamał ją i rzucił w syberyjskie stepy.

XVII.

Wiatr zachodni przyniósł w 1861 r. jakieś elektryzujące powiechy, których tajemniczą a zawrotną woń młodzież wsiąkała chciwie. Ale u starszych coraz większe chmury osiadały na czołach, coraz niespokojniejsze połyki błękały się w oczach.

Z wyżyn społecznych powiechy te osuwały się w niższe sfery, jak cichy deszcz majowy, budzący uśpio-

na roślinność. Budzili się i ludzie ze snu, nie umiejąc zdać sobie sprawy z tego, co się wokół nich działo, ale wnet porwani bystrym potokiem życia, tonęli znów w morzu swych zajęć codziennych.

Już i młodzież szkolna, posiadająca wówczas wiele swobody, poczyniała również owymi powiewami się upajać, a wpływ honorowego kuratora zapobiedz temu nie mógł.

Dyrekcja szkolna otrzymała rozkaz baczego nad uczniami dozoru i niedopuszczania polityki do szkoły. Atoli nowe jej prądy spowodowały usunięcie z gimnazjum nauczyciela polskiego języka, Czeplińskiego, podejrzanego o szkodliwy wpływ na uczniów.

Wypadki tymczasem postępowały w kraju szybko, przybierając charakter siły żywiołowej, który nic powstrzymać nie jest w stanie.

Ziemiaństwo gotowało się raz jeszcze do spełnienia wielkiej ofiary...

A gdy starsi i rozważniejsi jeszcze szukali środków do zatrzymania nadchodzącej burzy, gorąca lawa uczuć, rozlewająca się w piersiach młodzieży całego kraju, kropla po kropli spadając do Mińska, żłobiła powoli miejscowe kamienie.

W listopadzie 1861 r. uczniowie, obchodząc rocznicę 1831 r., zakupili nabożeństwo w katedrze o piątej rano, a po odśpiewaniu hymnów, rozeszli się spokojnie, nie ukazując się wcale dnia tego w klasach. Dyrektor, nie nadając temu wielkiego znaczenia, zachował się biernie, ale władze administracyjne podniosły alarm, żądając usunięcia 20 uczniów z gimnazjum, czemu się jednak dyrekcja opierała.

Wkrótce potem cztery starsze klasy zupełnie zostały zamknięte, ale wskutek starań kuratora otworzono je ponownie w początku 1862 r. Wielki ówczesny wpływ ziemiaństwa na losy szkoły zwyciężył raz jeszcze. W mieście tymczasem ferment rósł i z górnych sfer osuwał się niżej. Jakieś szepty, jakieś szmery przebiegały miasto, rozplywając się w powietrzu lub wybuchając w kościołach w gorących błagalnych hymnach.

W domach ziemiańskich panowała poważna cisza, odbywały tajemnicze narady. Raz po raz do Mińska wpadał ktoś nieznany, Bóg wie skąd przybyły, zajął tam i ówdzie i niknął ponownie. Mówiono zawsze, iż to był jakiś kuzyn tego lub owego domu, często też w czasie pojawienia się nieznajomych przypadały nagle jakieś uroczystości radośne, na które więcej się osób zbierało. W miejscu jednak wesołej zabawy, padały tam ciężkie, pełne wagi, słowa, niby rozkazy, niby wskazówki, wywołujące głęboką na twarz starszych zadumę, a rozpalające ogień w oczach młodzieży. Czasem na zabawach takich kursowały tace, na które sypały się hojne składki. Kobiety, porwane entuzjazmem, zrywały z siebie brosze, kolczyki i wszelkie kosztowności, rzucając je na ofiarę ogólną. Do zbierania składek byli upoważnieni delegaci. Zdarzało się jednak w Mińsku, iż się pojawiali samozwańcy, i korzystając z ogólnego nastroju z wysooko napiętego patriotyzmu, wyzywając do ofiar na cele narodowe, zagarniali je do własnej kieszeni.

Jednego z takich panów zdemaskował na licznej zebraniu księgarz Aleksander Walicki. Nomina sunt odiosa! Niech więc imię jego ginie w mętach zapomnienia. Oszust ten natychmiast ulotnił się z Mińska, ale wypadek ten nie ostudził zapалу ogólnego, pod wpływem którego nie-

jednokrotnie jeszcze rzucano pieniądze tym, którzy następnie korzystając z mętnej wody, rybę dla siebie łapali.

Gdy się dziś z dalekiej perspektywy przyglądam obrazom chwil owych, wyraźniej się wypuklają cienie sokołostwa i innych smutnych przejawów.

Iskry wrzącego już wulkanu przelatywały z domów ziemiańskich do mieszkań klas pracujących, rozpalają czasem w zakrystjach i celach klasztornych, czasem w suterrenach i na poddaszach, mącąc spokój dnia roboczego, przenikając do głębin izraelskich, gdzie czuwało przyjaźnie starsze pokolenie, a młodsze zaczynało już rachować korzyści, jakie z gotującej się zawieruchy wyciągnąć miało.

Z uchem zwróconem ku zachodowi, społeczeństwo polskie, okryte żałobą, w czamarach i konfederatkach, śpiewało narodowe hymny i antyfony, przesuwał się procesją z kościoła do kościoła. Władze miejscowe zdawały się zupełnie obojętnie patrzeć na wszystkie te demonstracyjne objawy. Nikt im nie przeszkadzał i nikt ich nie wzbraniał. Zachowywały się tak, jak gdyby mówiły: bawcie się dzieci! Może w tem leżała ukryta, rodząca się myśl prowokacyjna!..

Gubernatorem mińskim był, już ustępujący, Killer, jeden z najlepszych owego czasu naczelników gubernji. Może tradycja jego łagodnych i wyrozumiałych rządów nie dozwalała jeszcze łamać brutalną siłą niewinnych dotąd wybrków młodzieży.

Tak zaczął się rok 1862. Nagle w Warszawie huknęły pierwsze strzały i pierwsze padły ofiary.

Zaledwie społeczeństwo mińskie ocknęło z pierwszego, wstrząsającego wrażenia, gdy nadbiegły nowe wieści o licznych w Królestwie aresztach i deportacjach. W Mińsku już mieszkał Kornel Pełicksza, późniejszy wojewoda i organizowała się miejscowa władza, podlegająca rozkazom Rządu Narodowego.

Władza ta przedstawiała się jeszcze jako rzecz nieuchwytna, abstrakcyjna. Czuło się jej ducha, lecz nie widziało i nieznało — ciała.

Realne tylko kształty objął utworzony komitet w celu niesienia pomocy wygnańcom z Królestwa, prowadzonym przez Mińsk, w głąb Rosji i Sybiru. Komitet ten składali: Władysław Dmochowski, Karol Stankiewicz, Michał Dobrowolski, Piotr Czekotowski, Nowakowski i wielu innych panów i pań, z których najczynniejszymi były: Kamiła Marcinkiewiczówna, Okołodówna, Bulewska i wiele innych. Komitet bywał zawsze uprzedzony o chwili przybycia partji więźniów z nad Wisły i spotykał ją, zaopatrując w pieniądze, bieliznę, żywność i inne potrzeby.

Władze rządowe nie broniły ani tych spotkań, ani przeprowadzania więźniów, wychodzących z Mińska w dalszą drogę. Wskutek tego coraz liczniejsze grono osób, kobiet zwłaszcza, zbierało się na te wycieczki, które były nie tylko symbolem jedności z Królestwem, ale niemniej i żywym źródłem wiadomości stamtąd.

Ciągnęło się to czas jakiś bez żadnych ze strony władz przeszkód, aż dnia pewnego, gdy towarzystwo, przeważnie z kobiet złożone, wyszło nad wieczór z Mińska, w stronę karczmy Lochmana, na trakt Kojdanowski, gdzie zawsze spotykano więźniów, prowadzonych z Warszawy, — nadciągnęło wojsko i nie dając czasu na



Czekotowski Piotr.



Bulewska Kazimiera
(która w więzieniu posługiwała
Czekotowskiego).

dłuższą rozmowę z więźniami, otoczyło gęstym kordnem grono spotykających. Na pytania, prośby i protesty ani żołnierze, ani oficer żadnej nie dawali odpowiedzi ale zwartym łańcuchem zataczając koło, nie pozwalali zeń wyjść nikomu.

Partja deportowanych posunęła się ku miastu, zdążając do zamku więziennego, a spotykający ją pozostali na trakcie, przykuci do miejsca otaczającym ich wojskiem. Zapadała chłodna noc jesienna i strwożone kobiety, tuląc się do siebie, rozsiadły na murawie, wyczekując z niepokojem dalszego ciągu tej niemej sceny. Dwie największe ówczesne działaczki mińskie, panny Marcinkiewiczówna i Okołowówna, pełne energii i animuszu, dawały odwagi innym. Tak spędziły noc całą. Gdy świtać zaczęło, opasujący je kordon żołnierzy rozstał się w niemiłym również milczeniu, dając wolny do miasta powrót.

Wypadek ten zrobił pewne w Mińsku wrażenie. Władze dawszy poznać, że czuwają i że mają siłę, znów się neutralnie zachowywać poczęły. Szło może wówczas tylko o przeszkodzenie porozumienia się z ową partją więźniów, wśród której mogli być jacyś wybitniejsi mężowie.

Od owej chwili jednak coraz mniej osób wychodziło ku karczmie Lochmana i coraz mniej przeprowadzało wychodzące partje zesłańców z Mińska. Wkrótce zresztą i odpływ pierwszych wygnańców z Królestwa ustał i bieg życia do pewnej równowagi wracał.

Tylko kobiety coraz cięższymi okrywały się kirem, strojąc się w miejscu złotych ozdób, w ciemne, metalowe, o symbolicznych znakach, brosze, łańcuchy i pierś-

cienie, a ściany kościołów aż się trzęsły od śpiewu hymnów błagalnych, rwących się z tysięcy piersi.

Kropłe gorącej lawy z przygotowującego się do wybuchu wulkanu spadały ciągle i nieznacznie żłobiły kamienie.

XVIII.

Wskutek udziału uczniów w manifestacjach ulicznych, kuratorjum wileńskie nadsyłało wciąż rozkazy dyrekcji szkolnej surowego nad młodzieżą nadzoru. Dyrektor Belli, jako człowiek zbyt miękki, został usunięty, a na jego miejsce mianowany Kandydow. Zmiana ta jednak nie mogła uśmierzyć fermentu, nurtującego niewidzialnie w szkole, zwłaszcza zaś w pensjonacie szlacheckim. Instytucja ta przynosiła władzy sporo niepokoju, albowiem w niej się koncentrowały przeważnie, wedle ówczesnego mniemania, najburzliwsze czynniki, mące spokój w klasach i pchając młodzież do niewłaściwych demonstracji.

Wreszcie dn. 5 sierpnia 1862 r. pensjonat szlachecki został Najwyższym ukazem zamknięty, a w r. 1863 skasowany zupełnie.

Ziemiaństwo, z funduszków którego instytucja ta powstała i utrzymywała się lat tyle, nie mogło wobec tłoczących się wypadków protestować przeciw temu lub poszukiwać zwrotu owych „sum szlacheckich“, które były jego własnością.

W wirze następnych wypadków kwestja tego funduszu poszła w zapomnienie. Rozbite i złamane społeczeństwo polskie ogarnęła bierność i apatia zupełna. Tymczasem ci, co owymi funduszami rządźili i stan ich rachunkowy wyświecić mogli, — wymarli lub kraj opuś-

cić musieli. Nowi ludzie stanęli u steru wszystkich interesów i fundusze szlacheckie, które kwestjonować było trudno, utonęły z biegiem czasu w morzu niepamięci. Już po Świętach Bożego Narodzenia 1863 r. wielu uczniów nie wróciło ze wsi wcale.

Szablowski notuje w swym pamiętniku, iż z liczby chłopców, będących u niego na stacji, przybyli tylko Obrapalski i Garglinowicz. Serce starego nauczyciela drży z niepokoju o tę młodzież, której brak konstatuje również na wszystkich kwaterach ogólnych i prywatnych. Pomimo świecących pustką ław szkolnych, lekcje w gimnazjum rozpoczęły się we właściwym czasie, acz raz po raz zniżał któryś z uczniów.

Władze szkolne czas jakiś czekały cierpliwie, wreszcie 20 stycznia zwołały sesję, na której uchwalono wykluczyć z gimnazjum tych uczniów, którzy po Świętach nie pojawili się na lekcje. Pomimo tego wyroku władze szkolne, względniejsze niż dzisiaj, nie śpieszyły wcale z jego wykonaniem. Chciały nim zastraszyć młodzież i od polityki do szkoły zawrócić.

W mieście panowała jakaś uroczysta cisza. Iście żałobny karnawał drgał jedynie żywiej na dolatujące coraz częściej echa z za Bugu. W szczelnie zamkniętych gabinetach starsze i poważniejsze głowy pracowały usilnie, walcząc z beznadziejną rozpaczą. Raz po raz przybywali do miasta jacyś poważni, nieznani goście, zaglądali do różnych domów, do księgarni Walickiego, składając wizyty Kornelowi Pelikszy, około którego skupiało się niemal wszystko, a który jednocześnie bawił się u gubernatora, grał w karty z urzędnikami i wcale nie miał miny politycznego działacza.

Wiele osób z ukosa nań patrzyło, ale już większość

odczuwała w nim pewną władzę i pewną siłę, stanowiącą oparcie wśród rozhułanych żywiołów. Zima tego roku była niezwykle lekka, ciepła, bezśnieżna niemal. Natura zdawała się sama wyzywać do ruchu i walki partyzanckiej.

Wreszcie pierwsze jej hasła odezwały się w Królestwie, a długie ich echo rozbiegło się po całym kraju, wstrząsając trwogą i nadzieją wszystkie serca i nasuwając bolesną zadumę na starsze i poważniejsze czoła.

Do Mińska poczęli się zjeżdżać studenci i akademicy, którzy na te echa rzucając naukę, zbiegali się teraz do kraju, niosąc mu swe siły w ofierze.

Dnia 2 lutego wpadła do Mińska wiadomość o pojawieniu się pierwszej partji powstańców między Wilnem a Świącianami. Nie chciano zrazu temu wierzyć, bo wybuch miejscowy miał nastąpić później. Kurjer jednak wileński, redagowany przez Kirkorę, urzędowie fakt ten obwieścił.

Zdawało się, iż iskry elektryczne wstrząsnęły całe miasto.

Szablowski notuje, iż przed rokiem, w dzień Gromniczej, brzmiały w świątyniach błagalne hymny, a w rocznicę, gdy śpiewać zabroniono, — huknęły pierwsze strzały i krew zrosiła ukochaną ziemię...

Czy te pienia błagalne przebiły Niebiosa i uprosiły zmiłowania nad ludem? czy też nowe klęski, nowe ofiary dla ludu tego zgotowały?...

Wkrótce nadbiegła nowa wieść o pojawieniu się powstańców w powiecie mozyrskim, a zaraz potem o ukazaniu się nowej partji pod Pińskiem, która miała napaść na sztafetę rządową i zabrać sześć tysięcy rubli.

Wiadomość ta, trudna do sprawdzenia, przelatywa-

ła lotem błyskawicy z ust do ust, rozpalając uczucia i potęgując złudzenia. Siła tych uczuć była tak wielką, iż, jak wezbrana fala rozlewała się po całym mieście, ogarniając nawet dusze ulicznych chłopaków, wykrzykujących swawolnie różne patriotyczne hasła i płatających różne figle przedstawicielom władzy.

Na pierwszą wieść o wszczętym ruchu, kobiety nasze, jak dawne Rzymianki, wnet stanęły gotowe do wszelkiej, chociażby najniebezpieczniejszej roboty. Służyły też aż do końca wiernie sprawie już jako posłanki i przemysłniczki, już jako siostry miłosierdzia, już jako wybawczynie tych, którym szubienica groziła. Wielkie ich zasługi i czyny, pełne poświęcenia, giną w morzu niepamięci, ale je niewątpliwie kiedyś odsłonią karty dziejowe, jeśli do owej pory przeżyją wspomnienia i tradycje...

W owym czasie, gdy część kobiet poważniejsze wypełniała zadanie, inne przygotowywały wyprawy dla przyszłych żołnierzy i opatrunki dla przyszłych rannych. Nie było domu w Mińsku, gdzieby wieczorami młode grono nie zbierało się dla skubania szarpi i robienia bandaży lub też dla szycia jedwabnych koszul, konfederatek i t. p.

Karnawał upływał cicho przy tych robotach, a młode wdzięczne główki zamiast się stroić do tańca, pochylały się poważnie przy świetle lampy nad igłą lub szpitalnymi opatrunkami.

Naraz, dnia 10 lutego, uderzył w miasto grom pierwszy i ogłuszył je na chwilę. Oto tej nocy Władysław Dmochowski, sędzia Izby Cywilnej, nagle porwany został i wywieziony do Rosji.

Żadnego sądu, żadnej apelacji!.. Miasto wstrząsnęło

się ze zgrozy i oburzenia. Ale wnet po tej pierwszej ofierze wygnania nowe posypały się ciosy. Wywieziony również został doktor Lubiczeńkowski oraz d-r Kozłowski z bratem. Jeszcze miasto nie ochłoneło z tych wrażeń, gdy w nocy z 12 na 13 lutego porwany znów został i wysłany na wschód strapczy Nowodworski, a dnia 14 znany księgarz Aleksander Walicki. Z piersi miasta wydarł się jęk cichy i rozplynał w powietrzu.

W dni parę potem deportowano tą samą drogą administracyjną Bielawskiego, fabrykanta fortepjanów.

I znów zapadła głęboka cisza, jak w usypiającem powietrzu, przed nadchodzącą burzą.

W szczelnie zamkniętych gabinetach pracowali skrycie ludzie do steru powołani, a z ich tajnych narad wiatr chwycił jakieś szmery i niósł je ku miastu.

XIX.

Czas biegł i Zapusty były bliskie, a ławy szkolne coraz większą świeciły pustką. Każdego dnia niemal ubywał jeden lub paru uczniów. Lekcje jednak nie urywały się wcale. Nauczyciele, w obawie złych następstw dla młodzieży, starali się tego znikania uczniów nie widzieć.

Gdy jednak demonstracyjne swawole klasy IV, burzliwszej od innych, zaczęły przekraczać granice, władze szkolne zwołały sesję, uchwalając usunięcie z gimnazjum czterech uczniów tej klasy, z prawem jednak podania petycji o ponowne do szkoły przyjęcie. Atoli łagodny ten wyrok wywołał gwałtowny protest ze strony uczniów klas wyższych. Młodzież podniosła straszny alarm, ujmując się za pokrzywdzonych rzekomo kole-

gów. Zajście to przybrało charakter poważniejszej sprawy, co ściągnęło do gimnazjum gubernatora Każemnikowa, oraz policmajstra Czarkowskiego. Przybył też i marszałek Łapa, upominając uczniów i przywołując do spokoju.

Młodzież jednak grzecznie, ale stanowczo żądała pozostawienia w klasie usuniętych uczniów i z niezłamanym uporem stała przy swem żądaniu.

Wobec wzburzenia uczniów, władze administracyjne postawiły straż w gimnazjum. Przy drzwiach każdej klasy umieściło się zaraz po dwóch podoficerów, a u wejścia do pokoju dyrektora stanął osobiście major Woroniec.

Wprowadzenie straży do gimnazjum zaostrzyło bardziej jeszcze sprawę. Wprawdzie pozorna cisza zapanała w klasach, ale pod jej powłoką, jak w kraterze gotującego się do wybuchu wulkanu, drżały gwałtowniej młode serca i rozpały się uczucia.

Zaraz też władze administracyjne oświadczyły nauczycielom, iż w razie jakich bądź rozruchów w szkole, gimnazjum zostanie zamkniętem, a nauczycielom zatrzymaną zapłata pensji.

Pomimo tej groźby, Szablowski drży więcej o los uczniów, niż o własny, stara się wszelkimi siłami ukoić wrzącą młodzież, lecz ta starego nauczyciela już nie słucha wcale.

Nagle nowy grom uderzył w szkołę. Z rozkazu gubernatora aresztowano siedmiu uczniów klasy IV. Domyślano się, iż sprawcą tego był major Woroniec, który nie opuszczając wcale swego stanowiska w gimnazjum, wszystkiemu się ciekawie przyglądał i przysłuchiwał. Zwierzchność szkolna dowiedziała się o wypad-

ku po fakcie dokonanym i zaniepokojona tym pierwszym rodzajem gwałtu, w obawie nowych zawichrzeń i odpowiedzialności, ekskludowała z gimnazjum jeszcze ośmiu uczniów. Tą razą wyższe klasy nie podnosiły już alarmu, ani protestu. Szeregi uczniów, ubywających z dniem każdym, były już mocno uszczuplone i obojętnie na usunięcie kolegów patrzyły.

Ciężka troska leżała na czole nauczycieli, a wstrząsający raz po raz bieg wypadków poza szkołą wyprowadzał i starszych pedagogów z właściwej równowagi.

Lekcje się nie przerywały, ale szły jak po grudzie... A ławy coraz większą świeciły pustką.

Nadpływała groźna fala, która miała zalać i zniszczyć dotychczasowy ustrój szkolny.

Pobożny nader Szablowski, w którego sercu tłuka się hamowane gwałtownie uczucia patryjotyzmu, szuka w swych troskach pociechy w modlitwie i gorliwiej jeszcze kościoły odwiedza. I właśnie w chwili tych walk i niepokojów, gubernator Każewnikow powołuje Szablowskiego na nauczyciela do swych córek.

W początkach lutego wszczął się niezwykle ruch wojsk, które wciąż wchodziły i wychodziły, ciągnąc z Mińska ku Brześciowi. Artylerję też miejscową przerzucano w stronę Wilna, a na jej miejsce przybył do Mińska pułk piechoty, żołnierzy którego rozlokowano po 3—4 w prywatnych domach i mieszkaniach. Rzecz podobna nie praktykowała się tu nigdy, więc też strachem i oburzeniem przejęła mieszkańców. Ciężką też ten postój był dla nich pokutą. Większość tego żołdactwa była dziką, pijacką i złodziejską. Wszelkie zaś skargi na swawole

i grubijaństwa żołnierzy nie odnosiły żadnego skutku. Gospodynie i panie domu, zwłaszcza w nieobecności mężów, narażone były na tysiące przykrości.

Zaczęto więc rozzuchwalone żołdactwo kaptować sobie inną drogą, — datkiem i kieliszkiem, co skuteczniej podziało niż wszystkie skargi.

Każdej nocy krążyły po mieście rondo żołnierskie, co wielu przechodniów, zwłaszcza żydów, którym pijani żołnierze często na żart bagnetem zdejmowali czapki, — mocno przerażało. Wśród różnorodnych wzruszeń, trwogi, zamarła nagle komunikacja ze światem. Poczta nie przybyła do Mińska wcale. Czekano dzień, dwa, trzy. Trwoga rosła, a pantoflowe wieści, krążąc po mieście, szeptały jakieś historie o rozbiciu poczty przez powstańców. Dnia jednak 16 lutego ukazała się wreszcie poczta wileńska pod eskortą grenadierów i pod ich strażą wyruszyła ponownie do Wilna.

Okazało się też, iż wpadła w zasadzkę powstańców w Kamiennym-Łohu pod Wilnem, co spowodowało jej opóźnienie i zaopatrzenia w eskortę.

W mieście panował stan febryczny. Raz po raz ktoś nikał niepostrzeżenie z miasta. Nigdy jednak nikt o tych nikańcych nie pytał, acz wszyscy wiedzieli, iż większość może nie wrócić tu wcale.

Nie brakło jednak i takich, którzy w miarę zbliżającej się burzy, lękając się być porwanymi przez huragan ogólny, zawczasu o rejteradzie myśleli, by swe cenne osoby i majątki wycofać z grożącego niebezpieczeństwa.

Zaledwie rozpoczęła się organizacja ruchu, wiele możniejszych rodzin z kapitałami swymi poczęło wysuwać się za granicę. Gdy zaś pierwsze hasła werbunku uderzyły o uszy, wielu kawalerów, znanych z go-

rażącego patriotyzmu i gorętszych jeszcze słów, kładło się do łóżka, udając chorobę lub zmykało do oddalonych wiejskich zakątków, kryjąc się u krewnych i znajomych!

Sobkostwo podobne we wszystkich pojawiało się sferach. Słomiane ognie gasły w zetknięciu się z czynem.

Gdy burza minęła i na okrwawioną, poszarpaną powierzchnię kraju wypłynęli ponownie zdrowi i cali, mówiono o nich, iż mieli... polityczny rozum.

Dzięki też temu rozumowi zdołało z nich wielu zachować do dziś dnia swe fortuny i swe posiadłości, które, jak oazy, wśród zrujnowanego ekonomicznie kraju, świecą dotychczasową zamożnością, zdając się wołać:

— Oto, co znaczy rozum polityczny!..

Ogół jednak polski go nie posiadał... siedł za głosem serca. Miastem wstrząsały wciąż nowe dreszcze. Naprężone tętna były coraz silniej. Raz po raz przelatywały ciche, jak krople spadającej rosy, szmery o zniknięciu tego lub owego. Ulotnił się i nauczyciel gimnazjalny Ostromencki. Gdy się nie zjawił do szkoły, nikt nie śmiał zapytać: dlaczego nie przyszedł?

Wkrótce nowa wieść jak błyskawica obleciała miasto. Aresztowano znaną z gorącego udziału w ruchu Kamilę Marcinkiewiczównę. W ślad za nią uwięziono Marczenkę, syna „kaznaczeja“ powiatowego i Stankiewicza, sekretarza Izby dochodów Państwowych.

XX.

W końcu lutego, w chwili największego naprężenia uczuć i niepokojów politycznych, rozgrasowała się w



X. Michal Terajewicz.



X. Adolf Płaskowicki.

Mińsku epidemia dziecinna, zmiatając liczne ofiary. I Szabłowski stracił też córkę, znajdując pewne ukojenie w bólu we współczuciu ludzkim. Znana z dobroci pani Naborowska wnet stroskaną rodzinę otoczyła swą opieką. Nie odstępują również wierni przyjaciele, księża Płaskowicki i Terajewicz, a za skromnym konduktem, posuwającym się na Kalwarję, widzi z rozrzewnieniem Szabłowski wszystkich swych uczniów. Drży jednak, by ta dobre „chłopaki“, pod wrażeniem wypadków bieżących, nie urządzili jakiej awantury politycznej, ale uczniowie w poważnym nastroju przeprowadziwszy zwłoki do rogatek, których przekroczyć nie mieli prawa, spokojnie zawrócili do miasta.

W owym czasie wszystkie bóle osobiste kryły się prędko w głębi piersi, wobec bólów ogólnych. W kilka dni potem, gdy Szabłowski był już na swem stanowisku w klasach, jeden z jego „dobrych chłopców“ wypadł na ulicę w czamarze i konfederatce. Wnet go aresztowano i stawiono przed gubernatorem, lecz ten go odesłał do gimnazjum, polecając dykcji szkolnej wymierzyć chłopakowi odpowiednią karę. Skończyło się tym razem na karcerze. Gdy się jednak takie wypadki powtarzać zaczęły, władze administracyjne domagały się usuwania uczniów z gimnazjum.

W końcu lutego ciężkie wrażenie ogarnęło ludność polską w Mińsku, gdy przed dom gubernatora, pod silną strażą, zajechał wóz, pełen powiązanych ludzi. Był to pierwszy transport więźniów ze stron dalszych. Nikt bowiem tych młodych a zmęczonych twarzy nie znał w mieście wcale. Ogół miński nie przywykły jeszcze do takich widoków, nie otrząsnął się z pierwszych tego rodzaju wzruszeń, gdy nowy transport więźniów

nadszedł. W liczbie ich znajdowali się: obywatel ziemski, Konstanty Swieżyński, Pawłowicz Edward, nauczyciel z Nowogródka i ks. Wyganowski, kapelan gimnazjalny z Mozyrza.

Dwóch ostatnich osadzono w klasztorze Benedyktyn, który po usunięciu kilku pozostałych zakonnie, zamieniony został na więzienie polityczne.

W tym też czasie utworzoną została w Mińsku Komisja dla indagacji więźniów. W kilka dni potem ks. Wyganowski wywieziony został w głąb Rosji. Jedni utrzymywali, iż miał być w Tambowie, inni zaś, iż wysłany został do Tobolska.

Organizacja cywilna już się ukonstytuowała należycie i ta jedynie wiedzieć mogła o całym ruchu krajowym, o powstawaniu i upadku partji różnych, o ofiarach potyczek i zdradach. Ogół upajał się wieściami z prywatnych płynącemi źródeł. Kurjer zaś wileński podawał wiadomości oficjalne, często tendencyjne i nie zawsze prawdziwe.

A tymczasem ryk dalekiego grzmotu zapowiadał zbliżanie się burzy. I jak ptaki w chwili niebezpieczeństwa zlatują do gniazd swych, tak i studenci ze wszystkich uniwersytetów wracali wciąż do swych ognisk rodzinnych. Ostatni niemal przybył z Kijowa Jan Naborski i kilku innych maruderów.

Dnia 7 marca opublikowano w Mińsku Ukaz z dn. 19 lutego o zniesieniu pańszczyzny i uwłaszczeniu włościan. Odczytywano go w kościołach i cerkwiach, gdzie duchowieństwo prawosławne, jak mówiono, uzupełniało go wielu komentarzami, rozbudzającymi nieraz wśród ludu wrogie instynkta ku swym byłym panom.

Myśl o czynszowaniu włościan, noszona od czasów Aleksandra I przez wolnomyślną grupę ziemian, składana kilkakrotnie u stóp Tronu, z prośbą o jej urzeczywistnienie, odręczana zawsze, spadała teraz na lud w formie łaski Monarszej i zadawała w samo serce cios podniesionemu ruchowi krajowemu.

Nagły ten przewrót ekonomiczno-społeczny przeraził cały poważniejszy ogół polski. Każda chwila przemowa, nawet w kulturalnych społeczeństwach i normalnych warunkach, rodzi chaos i powikłania. U nas, w wyjątkowej sytuacji, w tak naprężonym momencie, nagłe rozkielzanie ciemnego a przywykłego do cugli — elementu, mogło wywołać groźne następstwa.

Dobrej tylko i łagodnej naturze białorusinów i pewnemu ich jeszcze przywiązaniu do ziemiaństwa zawdzięczać należy, iż w czasie miotającej burzy w kraju nie powtórzyły się tu krwawe galicyjskie sceny. Albowiem choć gorsze żywioły dopuszczały się pewnych ekscesów, ogół zachowywał się niemal biernie, a pewna część jego szczerą życzliwość i pomoc powstaniu okazywała.

Starsi i doświadczeńsi ludzie nie taili swych obaw o przyszłość, ale już siły do powstrzymania wybuchającego wulkanu nie mieli. Rozpłomieniona młodzież biegła z zamkniętymi oczami w przepaść.

W niższych sferach miejskich Ukaz małe nader sprawił wrażenie, ale po wsiach w wielu miejscach ludność włościańska, olśniona nagłą wolnością, odmówiła się narazie od wszelkiej roboty dworskiej.

W ostatnich dniach marca wpadła do Mińska wiadomość o bitwie w Świeczkach, majątności Kurow-

skiego, około Gródka, w powiecie wilejskim. Mówiono, iż partja ta, złożona z kilkudziesięciu ludzi pod dowództwem Karola Swetoldyicza, na własną działała rękę, wyruszywszy w pole bez rozkazu wyższej narodowej władzy. Na dworze w Świeczkach, gdzie się zatrzymała, zdradził ją postawiony na pikiecie a świeżo zwербowany do partji, starszyna włościański z okolicy, naprowadzając żołnierzy. Powstańcy siedzieli u śniadania, gdy dom został otoczony i kule świsnęły przez okna. Wnet pięciu padło trupem, inni ratowali się ucieczką. Kilku jednak pochwycili chłopci, pastwiąc się nad nimi i nad starym dziedzicem Świeczek-Kurowskim.

W liczbie zabitych znalazł się uczeń mińskiego gimnazjum, klasy VII, Sulistrowski. Ciało jego wraz z innymi ofiarami pochowano na cmentarzu przy kościele, zwanym Plebanją, przy miasteczku Kraśnem. Świątynię tę, której fundacja sięga czasów Aleksandra Jagiellończyka, zaraz przerobiono na cerkiew.

Na wieść o śmierci kolegi, uczniowie jego klasy nie przyszli na lekcje. W innych też klasach większe niż zwykle były pustki. Uczniowie, pod wrażeniem wypadku, wykładów nie słuchali prawie.

Dnia 29 marca wysłano z Mińska dwie rotys żołnierzy w okolice Rakowa, gdzie się mieli ukazać powstańcy, a w parę dni inne dwie rotys wyruszyły na furmankach dla pośpiechu w stronę Wilejki powiatowej. Obawa o życie i los krewnych i znajomych w owych miejscowościach nie jedno ścisnęło w mieście serce. Komunikacja była trudna, a wieści, ustną nadchodzące pocztą, nie zawsze były pewne. W mieście odbywały się ciągle rewizje. Każde mieszkanie przetrząśnięte było do dna.

Dnia 5 kwietnia ogłoszony został w Mińsku Manifest, w którym rząd oświadczył, iż wszyscy powstańcy, składający broń dobrowolnie, nie podlegną wcale karze. Była to chwila, w której partje miejscowe zaledwie formować się zaczęły. Zaraz się jednak znalazło wielu paniczków, którym życie obozowe nie smakowało wcale i którzy pośpieszyli wnet zdać się na łaskę lub niełaskę władzy.

W tym czasie zaczynały już dobiegać do Mińska echa z lasów Bohuszewickich w ihumeńskim, gdzie Bolesław Świętorzecki, zebrawszy liczną partję, miał cudów waleczności dokazywać.

Wszystkie oczy i uszy w tamtą zwracały się stronę i Świętorzecki, którego w Mińsku znano, wyrastał powoli na bohatera ruchu powstaniowego w Mińszczyźnie.

XXI

Dnia 16 kwietnia rozpoczynały się egzamina w gimnazjum w najcięższych dla nauczycieli warunkach. W starszych klasach były codzień się zwiększające pustki. Ci zaś uczniowie, co jeszcze na lekcje się zjawiali, wcale do egzaminów przygotowani nie byli. W młodszych oddziałach brakło też wielu chłopaków. Wszędzie zaś panowało pewne rozprężenie i niedbałość w naukach. Umysły malców w inną też zwracały się stronę.

Nauczyciele stargani również, współczując młodzieży, starali się ją osłonić od prześladowania, tłumiąc jej wybuchy i swawole wewnątrz szkoły. Dnia 1 stycznia 1863 r. ogólna liczba uczniów wynosiła 645. W chwili zaś egzaminów spadła do 370, z czego większość przypadła na trzy pierwsze młodsze klasy. Ale, chociaż liczba 370

figurowała na papierze, w istocie była znacznie mniejszą, gdyż każdodziennie niemal pewien ubytek uczniów się zaznaczał. Znikali jak kamfora i ze szkoły i z miasta. Wielki przyjaciel młodzieży, niezmordowany w staraniach o jej dobro i jej wychowanie, honorowy kurator, marszałek Tomasz Jodko, czynił wszystko, co mógł, by tę działość, unoszoną prądem ogólnym, ochronić i nie dać się jej wykoleić. Troszczył się o przyszłość młodzieży i losy tego zakładu naukowego, w którym się ona kształcić dalej miała.

Dzięki może tej jego czujnej opiece, lekcje dotrwały do końca i rozpoczęły się egzamina, o których wiedzianno z góry, iż będą tylko czczą formalnością, którą jednak zachować należało.

Z klas, liczących po 100 uczniów, zaledwie 30—35 roztrągniętych, nie przygotowanych stawało do egzaminów. Młodzież nie myślała o nauce. Pochłaniały ją i ciągnęły wypadki bieżące, poza szkołą.

W czasie egzaminów zniknęło z horyzontu sześciu młodych jeometrów ze szkoły Komorniczej i niemal jednocześnie kilkunastu uczniów gimnazjalnych.

Szabłowski notuje z bólem i przerażeniem, iż poszedł za innymi i Ludomir Pawlikowski, będący u niego na stancji.

Była to właśnie chwila odlotu całej młodzieży z miasta, która dla idei niosła w ofierze życie swe i przyszłość. Policja obliczała, iż zabrakło naraz w Mińsku 360 osób. W rzeczywistości liczba ta była daleko większą, lecz wiele rodzin starannie tało nieobecność swych synów lub braci.

Trudno zresztą było młodym ludziom pozostawać w mieście wobec szyderstw uliczników, napastujących

gromadnie młodzieńców na ulicach. Obdartusy wysyłali ich „do lasu“, kpiąc z ich tchórzostwa i oblewając potokiem wymyślań. Wielu więc istotnych tchórzów i sobków, w obawie kompromitacji, musiało zmykać z miasta i gdzieś się w zakątkach ukrywać.

Uczucia rozsadzające piersi ogółu polskiego, przelewały się niejako w dusze ulicznych malców, stanowiących istotną plagę dla tych wszystkich, którzy od ogólnego ruchu uchylić się chcieli.

Niemniej leniwe i egoistyczne natury pchały do czynu kobiety, które na ówczesnej arenie działalności politycznej zajaśniały bezgraniczną ofiarnością i poświęceniem.

One to, bez względu na własny byt i szczęście, wysyłały swych mężów i braci do powstania, one, narażając się na największe niebezpieczeństwa, służyły sprawie jako posłanniczki, one niosły pomoc głodnym i rannym, przechowywały rozbitków, przewoziły uciekających.

Ciche ich prace i ofiary nie przejdą do historii. Zatrą je większe, głośnie czyny innych społecznych bohaterów.

Ale oddając należną cześć niewiastom owej epoki, przekazujemy ją tem samem potomności.

Dnie tymczasem płynęły powoli, ciężko, pełne bólu, nadziei i trwogi. Napężenie ogólne rosło, tętna pulsu biły silnie. Każdy niemal z mieszkańców miasta miał w tych lasach i puszczech, świeżo okrywających się zielenią, kogoś sobie blizkiego lub przynajmniej znajomego. Stamtąd zaś tylko głuche, niepewne dochodziły wieści...

Ruch wojsk się wzmaczał. Znow jeden pułk z Mińska wybiegł do Oszmiany, gdzie prawdopodobnie nowy miał się rozegrać dramat.

Oprócz znanych, zamieszkałych w mieście, rodzin ziemiańskich, wciąż na ulicach nowe ukazywały się i znikwały twarze. Czasem przemykały bryczki lub powozy, lecz już bez tego pańskiego szyku, jak dawniej. Przyjeżdżający mieli snadź poważniejsze myśli i cele. Wszelkie zabawy ustały, a jeśli się gdzieś ludzie zbierali, to wiodły się sprawy ogólne, większego znaczenia. Zbieranie składek szło dalej. Sypały się one hojnie, dostając, niestety, czasem w nieodpowiednie ręce, które, korzystając z chaosu, własną korzyść na celu miały. Demaskowano je parokrotnie, ale w obawie zdrady i gorszych jeszcze następstw, musiano podobne przestępstwa umarzać, pokrywając milczeniem.

W niektórych domach odbywały się ciche, szeptane narady, szmer których czasem wybiegał na miasto i służył ogółowi za wskazówkę. Czasem padały rozkazy. Gdzie i jakie jednak były sprężyny rządzące, nikt dobrze nie wiedział. Chociaż bowiem odczuwano nici organizacji cywilnej, opłatujące kraj cały, nikt do kłębka dojść nie mógł. Była to instytucja nader misternie powiązana. Wszystkie nici były w ruchu, ukrywając jedna drugą.

Zaczęto jednak wkrótce szeptać, sobie do ucha, iż wojewodą mińskim był Kornel Peliksz. Wiedziało o tem zaledwie osób kilka, lecz w społeczeństwie naszym tajemnica długo utrzymywać się nie mogła. Szczęściem jednak nie bardzo w rzecz tę wierzono, bo pozory, którymi okrywał się ten rozumny człowiek, zdawały się kategorycznie temu zaprzeczać.

Tak rzeczy stały, gdy dnia pewnego, w końcu kwietnia, jakiś się wszczął tumult przed domem gubernatora. Tłum ciekawych rósł coraz więcej, zapelniając

plac cały. Wypadek musiał być niezwykle. Nadbiegało więc coraz więcej strwożonych osób.

Z poza fali głów ludzkich ujrano wreszcie kilku młodzieńców, związanych powrozami, bladych i poszarpanych, leżących na wozach, otoczonych chłopstwem. Byli to uczniowie gimnazjalni: Matusiewicz, Plewako, Januszkowski, Giecwicz i Oldenburg, którzy przed kilku dniami opuścili miasto i nie doszedłszy do partii, wpadli w ręce chłopów. Gubernator rozkazał mocno poturbowanych chłopaków osadzić w areszcie, czyniąc wymówkę władzy szkolnej za słaby nad uczniami nadzór.

Znękany Szablowski trwoży się o innych, którzy razem z tymi wyszli i sercem ojca obejmuje tę biedną działwę, na tyle niebezpiecznych wystawioną przygód. Z niepokojem też zapytuje, czy w podobnych warunkach uda się szkole przetrwać do końca roku?

W parę dni potem, dwaj inni uczniowie—Jurkiewicz i Sarnecki—wrócili bez szwanku do miasta i ukazali się, ku radości pedagogów, w klasach. Krótką ich nieobecność zdołano upozorować i zatrzeć całą sprawę.

Wypadki tymczasem biegły szybko; jedna wiadomość wyprzedzała drugą. Wkrótce znów rozjuszeni włóścianie dostawili do Mińska właściciela majątku Błonia, Antoniego Osowskiego, zakutego w kłódkę. Mówiono, iż rozrzucał proklamacje i odczytywał chłopom manifest Rządu Narodowego.

Osowski osadzony został w skasowanym już klasztorze Bernardynów, zamienionym obecnie na więzienie polityczne. Dnia 29 kwietnia nowe ofiary ruchu zostały przywiezione do Mińska. Znów przed domem gubernatora stanął wóz pod eskortą żołnierzy z trzema ciężko

rannymi więźniami. Byli to: Pieńkiewicz, syn doktora, junkier konsystującego w Mińsku pułku, Wierzbicki, szwajcar z Katedry i szewc miejscowy.

Odwiezieni do szpitala, dwaj ostatni zaraz zmarli.

Nazajutrz przybył nowy transport rannych więźniów. Było ich siedmiu. Wszyscy pochodzili z Mińska, lecz w jakiej byli partji, niepodobna się było dowiedzieć. Bagnety żołnierzy broniły przystępu do więźniów.

XXII.

W początkach maja dobiegła do Mińska wiadomość elektryzująca ogół i nowe rozbudzająca nadzieje. Rozpowiadano sobie o partji Bolesława Świętorzeckiego, operującej w lasach Bohuszewickich, w powiecie ihumeńskim, tak licznej i tak dzielnej, że ją żadne wojska pokonać nie mogły. Partją tą, z którą się połączył oddział Korkozowicza, dowodził Laskowski, bo Świętorzecki, którego imię partja nosiła, będąc członkiem organizacji cywilnej, miał sporo innej roboty. Laskowski, rozbijając kilkakrotnie regularne rotę, takiego strachu napędził żołnierzom, iż przekonani byli, że z czarnoksiężską siłą mają do czynienia. Nazywali też Świętorzeckiego, bo pod jego imieniem partja oficjalnie znana była, czarownikiem i do boju z nim szli z panicznym lękiem.

Miasto chwytało gorączkowo wszystkie podobne nowinki i, to się upajało złudzeniem, to znów łamało z bólu. A transporty więźniów płynęły do Mińska, jak woda... Ludzie już w pewnym stopniu oswajać się z tym smutnym widokiem zaczęli, acz każdym razem serca drgały boleśnie, a niespokojne oczy szukały na wozach krewnych lub znajomych.

Dnia jednego uczniowie szkoły geometrów spostrzegli wśród grupy innych więźniów kolegę swego Dąbrowskiego. Rzucili się ku niemu, ale bagnety żołnierzy zbliżyć się im nie dały. Więc wszystkie czapki uniosły się w górę i odsłoniły młode czoła, składając niemy hołd męczennikowi idei. Dnia też tego większość uczniów nie ukazała się wcale na lekcjach.

W kilka dni potem, 8-go maja, stanęły przed domem gubernatora nowe wozy więźniów, odmiennego jednak charakteru. Była to grupa chłopów z siedmiu osób złożona, oraz żyd cyrulik. Aresztowano ich i przywieziono z pod Słucka zato, iż wypuścili na wolność oddanych sobie pod straż powstańców, wziętych do niewoli z partji Korkozowicza.

Gubernator odesłał ich do klasztoru Bernardynek, gdzie mieli być uwięzieni. Fakt powyższy świadczy, iż nie wszędzie włościanie byli wrogami powstańców. Niemniej i wielu żydów, starszego zwłaszcza autoramentu, dopomagało ich sprawie, ocalając niejednego od śmierci lub kaźni.

Klasztory były już niemal pełne, gdyż liczba więźniów rosła ciągle. Wojska też w nieustannym były ruchu. Przybyła do Mińska artylerja odbywała tu swe ćwiczenia, grzmiać codzień hukiem armat. Jedni mówili, że się egzercytuje przed wyprawą na partję Świętorzeckiego, — inni zaś dowcipnisie twierdzili, iż strzałami odstrasza powstańców od napadu na miasto, tak jak się odstrasza wilków, kręcących się koło zagrody.

Wśród ogólnego naprężenia nerwów, przy huku salw armatnich, szły w dalszym ciągu egzamina w gimnazjum. Pot kroplisty występował na czoła pedagogów i błyszczał na rozgorączkowanych policzkach ucz-

niów. Egzamina szły jak po grudzie... Raz po raz okazywał się brak tego lub owego ucznia. Nie pytano o niego i nie szukano wcale, przechodząc do innych, którym w każdym przedmiocie dopomagać należało. Ale egzamina musiały się odbyć i odbywały, acz w pocie czoła, jak zwykle, w normalnych warunkach.

Życie płynęło gorączkowo, wśród wstrząsających wciąż wrażeń. Przed oczami ludzi, jak w malignie, prześwadyły się straszne obrazy, dławiące jak zmora, męczące jak halucynacje. Każdy dzień przynosił nowe wrażenia i nowe bóle, nowe zawody i zwątpienia.

Dnia 14 maja dowiedziano się o przybyciu Murawjewa do Wilna; 15-go nadbiegła wieść o potyczce pod Janowem i zwycięstwie Łaskowskiego około Jurewicz. Czy tak było w istocie, nikt twierdzić nie mógł. Wiadomości podobne płynęły w powietrzu. Niosły je wiatry wiosenne do miast i siól. Chwytały je usta ludzkie i przepowiadały jedno drugiemu.

Kurjer Wileński był już organem urzędowym. Wychodził w dwóch językach—polskim i rosyjskim, pod redakcją Kirkora i oficjalne tylko wiadomości zamieszczał. Inne pisma na Litwie nie istniały.

Gdy się tak serca wszystkich niepewnością i nadzieją biły, przybyły do Mińska transport więźniów z Iłumeńskiego wstrząsające a głębokie wywołał wrażenie. Oto wśród grupy starszych, zbitych, pokrwawionych i skrupowanych, sterczało młode pachole, lat 10—12, również krwią zbryzgane, w powrozach na ręku. Błada twarzyczka, acz pełna bólu, zdradzała raczej stanowczość, niż trwogę. Zmęczone oczy patrzyły śmiało i spo-

kojnie. Ze zdumieniem też w tym małym bohaterze poznano ucznia I klasy Borowskiego. Jakież to wielkie i święte uczucie przenikało ogół, gdy nawet dusze chłopięce do najwyższych podnosiły się ofiar!.. Na małych kolegów z I klasy wiadomość o Borowskim ogromnie wywarła wrażenie. Swawolna dziatwa spoważniała naraż. A gdy jedni do płaczu się zbierali, inni, z dziwną zazdrością, sami na miejscu Borowskiego byćby chcieli.

W liczbie starszych więźniów znajdował się doktor powiatowy z Ihumenia, Śniegocki.

Już krążyły w mieście pogłoski o powstałej w powiecie wilejskim, graniczącym z mińskim,—partii powstańców pod dowództwem Wincentego Kozielly. Partja ta, ukazując się w Łukawcu i Dolhinowie, przebiegała się wśród lasów na pograniczu powiatu borysowskiego.

Wiele osób z Mińska miało w niej swych krewnych i znajomych i mocno się losami partji interesowało. Nagle, jak piorun z jasnego nieba, wpadła wiadomość o pogromie partji Kozielly pod Władykami, około Ilji. Wojsko, naprowadzone przez miejscowych chłopów, otoczyło powstańców w chwili, gdy po wyjściu z puszczy, przepłynąwszy na tratwach rzekę, znaleźli się na jej przeciwległym brzegu około wsi Władyki. Pierwsza niemal kula położyła trupem naczelnika partji, Koziellę. Gdy zaraz potem wszczął się bój krwawy, część powstańców rzuciła się do szeroko wiosną rozlanej rzeki, chcąc ją przebyć wplaw i szukać schronienia w puszczy, z której przed chwilą wyszli. Wnet jednak grad kul osypał rzekę, której fale zapieniły się krwawo. Drobna

część zaledwie płynących uratować się zdołała... Szczęśliwsi byli ci, co się rozsypali wśród krzaków na prawo i lewo. Wieść niesła, iż w pogromie pod Władykami zginęło około 70 powstańców. Znaczna zaś część była wzięta do niewoli.

Straszne przygnębienie ogarnęło ogół polski w Mińsku. Duch, w ciągłej walce z nadzieją i niepowodzeniem, łamał się i upadać zaczynał.

Jeszcze się ludzie z pierwszego nie otrząsnęli wrażenia, gdy już dn. 20 maja przywieziono do Mińska pierwszą partję jeńców z pod Władyk. Blade te, okrwawione, konające niemal twarze, przeszywały bezmiernym bólem serce. Większość jeńców składała się z drobnej szlachty, ale między nimi był ksiądz ciężko ranny i obywatel ziemski, skłóty cały bagnietami i poznany zaraz przez kolegów, uczeń V klasy, Borsuk, z borysowskiego. Nazwisko księdza nie było na razie wiadome. Przypuszczano jednak, iż musiał to być ks. Gwałdecki, który był w partji wilejskiej i brał udział w bitwie pod Władykami. Prawdopodobnie zmarł z ran otrzymanych, bo od czasu bitwy nikt już o nim nie zasłyszał nigdy.

Pokłótym ziemianinem musiał być Zdzisław Ratyński z Kraśnego, dowódzca Kosynierów pod Władykami. Miał 17 ran kłótych, bo rozjuszony żołdactwo podnosiło go na bagnietach, i straszną krwawą ranę na szyi, którą mu zadano, zrywając srebrny łańcuch z medalikiem, noszonym na piersiach.

XXIII.

Jeszcze myśl błakała się nad krwawem Władzkowskim polem, jeszcze się snuła ponad ową rzeką



Ciundziewicki Michał.

o ciemnych brunatnych plamach, która się stała mogiłą tylu serc młodych, gdy dnia 21 maja inny wypadek nowym ciosem uderzył społeczeństwo polskie, budząc ból niewysłowiony.

Dnia tego Michał Ciundziewicki, młody ziemianin powiatu borysowskiego, z najzacniejszej pochodzący rodziny, w Mińsku rozstrzelany został.

Było to pierwsze uderzenie maczugi, którą później wielkorządca wileński wymierzał ciosy na wszystkie strony.

Wszyscy wiedzieli, iż Michał Ciundziewicki był aresztowany i że mu, jako byłemu oficerowi wojsk rosyjskich, grozi za udział w ruchu krajowym cięższa, niż innym, kara, nikt jednak przypuszczać nie mógł, by na śmierć miał być skazany. Ale już srogie prądy wiały z Wilna i miński sąd wojenny wydał pod ich wpływem wyrok śmierci przez rozstrzelanie, który momentalnie Murawjew konfirmował.

Szablowski, naoczny niemal świadek tej egzekucji, opisuje ją z wielu szczegółami.

Dnia 21, w cudny poranek majowy, zawieszano około siódmej do więzienia ks. Walickiego, któremu przypadło w udziale dysponować na śmierć tę młodą ofiarę. Ciundziewicki odbył spowiedź ze spokojną rezygnacją, przyjął Św. Sakrament i Ostatnie Namaszczenie. Między 8 a 9-tą rano wyprowadzano Ciundziewickiego z więzienia na plac, leżący między traktami—ihumeńskim i kojdanowskim, które zbiegając się z sobą około rogatek, tworzyły rodzaj widel. Wśród tych widel biegła w środku mniejsza droga, prowadząca do nowych mogił żydowskich i dalej poza nie, do lasu Dobrej-Mysli, który musiał być w okolicy dworca Brzeskiego, zaczynając,

jak twierdzą starsi, u tunelu, pod wiszącym mostem kolejowym, który się przejeżdża dążąc z miasta ku dworcowi kolei brzesko-moskiewskiej.

Od owej drogi, wijącej się wśród dwóch traktów pocztowych, na lewo, nie dochodząc do żydowskiego cmentarza i pól zasianych zbożem, leżał niewielki plac, przeznaczony właśnie na miejsce kaźni.

Ciundziewicki liczył lat 27. Wysłuchawszy wyroku z podziwu godnym spokojem, zachował go do ostatniej chwili. Gdy szedł na śmierć, był bardzo blady, ale twarz jego zdawała się być wykutą z marmuru. Taki poważny, kamienny leżał na niej spokojnie...

Szedł krokiem pewnym, rzuciwszy parę razy smutne spojrzenia na to niebo błękitne i ten świat majowy, drgający życiem, z którym się on już rozstać musiał...

Tłumy ludzi, otaczające plac egzekucji, chwiały się jak kłosa wichrem miotane... Raz po raz ze zbiorowiska tego wybiegał jakiś jęk zdławiony, jakiś krzyk, przeszywający powietrze, ginący w odgłosie bębnow i wrzawy.

Gdy Ciundziewicki zbliżał się do słupa, zakukała w oddali niezwykle żałośnie kukulka. Oczy skazańca zwróciły się smutnie w jej stronę.

Gdy stanął na miejscu, wyprostował się, skinął ku tłumom, zaczął coś mówić, ale głos jego zgłuszyły bębny. Asystujący mu ksiądz, bledszy od skazańca, złożony nad nim, usunął się na bok.

Kule świsnęły, — zbroczony krwią Ciundziewicki osunął się ku ziemi.

Z piersi tysięcznego tłumu wydarł się ryk urwany. Fala zakołysała się i naparła na żołnierzy, zbliżając się ku miejscu stracenia. Kilka kobiet, korzystając z chwili zamieszania, skoczyło ku słupowi, chwytając piasek

zbroczony krwią nieszczęśliwego, lub zbierając chusteczkami rozprysłe krwawe krople.

— „Ta straszna egzekucja, — pisze Szablowski w swym pamiętniku, — wstrząsała wszystkich do głębi duszy, — wywarła na mieszkańców miasta bezmierne wrażenie...

Nad mogiłą skazańca, na miejscu kaźni, ustawiono wnet strażę, ale codzień, wieczorem zwłaszcza, zbierały się około niej tłumy osób z miasta i osypywały grób kwiatami. Straże wprawdzie nie pozwalały nikomu zbliżyć się do mogiły, a jednak wkrótce urósł na niej niby kopiec z zieleni i kwiecica.

Spółczesność składała hołd ofierze swej idei, ale powszechnie poważana rodzina Ciundziewickich i spokrewnione z nią domy poniosły cios wielki. Młody oficer zostawił narzeczoną, która podobno długo w żalu ukoić się nie mogła. Przez czas też długi kursowały w Mińsku śpiewane przez młodzież różne poezje i wiersze, układane w cześć młodego skazańca.

Dzisiejsze pokolenie nie zna już miejsca, w którym się ówczesny plac kaźni znajdował. Wie o nim tylko z tradycji, która przechodząc z ust do ust, wpada nieraz w błędne koło. W ciągu pół wieku miasto rozrosło się bardzo, wskutek powstałych kolej w kierunku placu, na którym padł Ciundziewicki, zmieniło swą fizjognomję do niepoznania. Las Dobrej-Mysli zniknął z horyzontu, ślady pocztowych traktów, zbiegających się u rogatki, zatarły zupełnie. W miejscu pól wyrosło nowe, młode miasto, wyciągające szyję i ramiona ku dworcom kolejowym linii brzesko-moskiewskiej i libawsko-romeńskiej.

Jadąc właśnie na dworzec, zwany wileńskim, znajduje się z prawej strony ostatniej, podjazdowej ulicy,

wśród szeregu posesji drewnianych, placów, jeszcze nie zabudowany, lecz niknący w labiryncie powstających parkanów i budynków.

XXIV.

W końcu maja zaszły pewne w administracji zmiany. Jenerał-gubernator Nazimow opuścił Wilno, a do Mińska na miejsce gubernatora Każewnikowa przybył Zabołocki, znany już ze swej działalności w Warszawie.

W tym też mniej więcej czasie ustanowieni zostali w powiatach naczelnicy wojenni z obszerną nader władzą, którą w zbytniej gorliwości przekraczali często. Kraj cały stanął na stopie wojennej. Z włościan utworzona została tak zwana milicja, dopomagająca do łapania powstańców i trzymająca straż u rogatek, któremi zamykały się nietylko miasta i miasteczka, lecz i wsie nawet i przejazdy wszelkie. Nikt się bez paszportu ruszyć z domu nie mógł. Przy rogatek bowiem podróżnych zatrzymywali włościanie, domagając się „praszportu“. A choć czytać nie umieli, brali do rąk dokument, wydrukowany przez naczelników wojennych i rozglądali pieczęć starannie. Że zaś wiedzieli, iż w każdym paszporcie są wypisane fizyczne przymioty jego posiadacza, nie raz impertynencko zaglądali w twarz podróżnych, zatrzymując ich u rogatek. Duma pańska wystawioną nie raz bywała na ciężkie próby... Jeden wykrzyk niecierpliwy mógł doprowadzić do ekscesów różnych, które się nieraz zdarzały.

Ciemne, niskie instynkta, korzystając z danego sobie prawa, mściły się za dawne urazy.

Zdarzało się jednak, iż tę ciemnotę udawało się cza-

sem wyzyskiwać. Ci, co paszportu dostać nie mogli i bez niego przemykać się musieli, ratowali się ukazaniem innego jakiegoś dokumentu, byle ten tylko był zaopatrzony w pieczęć herbową. Orzeł Państwowy prawdziwy, czy fałszywy, imponował chłopstwu i otwierał rogatki.

Była to jednak gra nader niebezpieczna i ryzykowna, lecz tonący często się brzytwy chwycić musieli.

Bywały jednak i takie wypadki, iż włościanie, poznając dawnych swych panów, w fałszywy zaopatrzonych paszport, sami im ułatwiali ucieczkę. W organizmie włościańskim, w owych przejściowych chwilach, toczyła się ciągle bezwiedna walka złych i mściwych instynktów, rozdmuchiwaną przez niektórych urzędników świeckich i duchownych w celach politycznych, z dobrymi i łagodnymi pierwiastkami, leżącymi w naturze i charakterze białorusinów. Społeczeństwo żydowskie, z którym, jako z pewną siłą, ruch krajowy liczyć się musiał, wydało wprawdzie i wielu zdrajców, lecz więcej jeszcze elementów życzliwych, których usługi nader były cenne. Niejednokrotnie też żydzi ratowali życie ginącym, wydostawali paszporty dla tych, którzy już ich dostać nie mogli, uprzedzali o niebezpieczeństwie, znajdowali zaradcze środki.

Zręczni i przebiegli, umieli dotrzeć tam, gdzie nikt inny dojść nie mógł. Znajdowali drogę do srogich urzędników, którzy już napływali do kraju ze wschodu i opanowując ich stopniowo, czynili z nich narzędzie do celów swoich.

Polacy i katolicy zewsząd już zaczęli być usuwani, a na ich miejsce na razie, w braku poważniejszego elementu prawosławnego, spływać tu zaczęli z Rosji różni ludzie, śpieszący do kraju, by w nim zrobić karierę.

Szlachetniejsze żywioły rosyjskie niechętnie jeszcze na Litwę zjeżdżały, ale różnych robigroszów, awanturników i rycerzy, szukających przygód, nie brakło. Żydzi, przeważawszy wnet ich słabe strony, umieli z tego korzystać i załatwiać interesy i swoje i cudze.

Ten chaos, który po burzy kraj ogarnął, ta zawierucha, w której się znalazła własność ziemiańska ze wszystkimi dochodami swymi, opuszczona przymusowie przez wielu właścicieli, konfiskowana, sprzedawana gwałtownie, przerzucana jak piłka z rąk do rąk, które ją eksploatowały, były początkiem ruiny ekonomicznej i upadku dawnego znaczenia ziemianstwa, a fundamentem kapitałów żydowskich i ich dzisiejszej finansowej siły. Na gruzach fortun ziemiańskich Żydzi zbudowali swe fundusze.

Dnia 22 maja nowy dreszcz zgrozy przejął polski ogół w Mińsku. Oto nadbiegła wiadomość o śmiertelnej znów kaźni ks. Iszory w Wilnie, a zaraz potem o rozstrzelaniu ks. Falkowskiego w Lidzie... Zdawało się, iż sukienka duchowna osłoni go od śmierci...

Ci kapłani, jako proboszczowie, przeczytali w parafjach swych, manifest Rządu Narodowego, wystosowany do włościan. Kara ta była wyrazem rozpoczynającego się w Wilnie nowego surowego kierunku. Nie ochłonęli jeszcze mieszkańcy z tych ciężkich wrażeń, gdy telegraf doniósł o nowych kaźniach. Padł ks. Ziemięcki i obywatel Laskowicz, rozstrzelani w Wilnie... Padł powieszony 28 maja Kołyszko, naczelnik partji...

W Bohuszewiczach, gdzie dwór cały Świętorzeczkiego z ziemią zrównany został — powieszono na zgłisz-

czach pięciu powstańców, złapanych z partji Świętorzeczkiego. Każdy dzień niemal wciąż świeża o nowych kaźniach przynosił wiadomość... Skrzypiały szubienice w Nowogródku, Borysowie i innych powiatowych miastach.

Ciężki, bolesny smutek osiadał na wszystkich twarzach. W świątyniach mińskich, przed rozpiętym na Krzyżu Chrystusem coraz niżej i korniej pochylały się głowy, a z piersi tłumów modły, przebijające kościelne stropy, leciały ku Niebiosom.

Wszystkie niewiasty mińskie były kirem żałoby okryte, gdy nagle dn. 7 czerwca wyszedł rozkaz, zabraniający kobietom nosić żałobę pod karą 25 rs., oraz pozbawienia posady mężów, jeśli je jeszcze gdzieś zajmowali. Czarny ubiór bez odpowiedniego pozwolenia władzy, która je wydawała tylko w razie udowodnienia śmierci kogoś z rodziny, surowo był zakazany. I w chwili, gdy kraj cały krwią był zbрызany, gdy każdy dom oplakiwał kogoś z swych blizkich, gdy bieg i groza wypadków usprawiedliwiała żałobne u kobiet szaty, — zakaz ten był kielichem gorzkiej ironji, której społeczeństwo polskie wypić jeszcze musiało. A że na nowe inne stroje ani czasu, ani środków, ani myśli wolnej nie było, kobiety przybrały czarne sukienki fioletem, aż cały Mińsk niejako tym kolorem zapłonął.

Pozwolenie na noszenie żałoby wydawać tylko zaczęto po śmierci rodziców lub mężów, w formie świadectwa, spisane go na sporym arkuszu, które każda z niewiast nosząca żałobę mieć zawsze przy sobie musiała. Na ulicy bowiem czarno ubrane panie zatrzymywała

policja i w razie nie okazania świadectwa, prowadziła do cyrkulu. Że zaś na każdej ulicy nowy się znajdował policjant i o świadectwo się upominał, więc ciągle je w rękę mieć należało, co było nader kłopotliwym.

Jedna z pań z towarzystwa, Niemorszańska, nosząca żalobę, wciąż miewała przykre zajścia z policją, wskutek świadectwa, o które ją ciągle napastowano. Dla zdobycia więc sobie spokoju, kazała ów wielki arkusz przyszyć sobie na plecach do sukni i z tą białą plamą wychodziła na miasto, gdzie na zapytanie stróżów porządku o świadectwo na żalobę, mogła w milczeniu tylko się obrócić i spokojnie iść dalej.

Bawiło to wielce uliczników, którzy nie szczędzili funkcjonariuszom policyjnym złośliwych żartów i docinków.

XXV.

Z dnia 18 na 19 czerwca nowa w Mińsku deportacja przygnębiła polski ogół. Wywieziono do Rosji dwóch stałych mieszkańców miasta: sekretarza Deputacji szlacheckiej Hausmana i sekretarza magistratu Oziembłowskiego. Żalowano szczerze tych ludzi, zrosłych niejako z miastem. Dnia 22 czerwca przywieziono do Mińska kilku powstańców z powiatu ihumeńskiego, w liczbie których znajdował się Bolesław Okulicz.

Ranni i chorzy więźniowie, odsyłani do szpitala, dozorca którego był Krywoszejn, a doktorem Homulicki, — doznawali tam wiele względności i troskliwej opieki. Piękne panny Krywoszejnowny, o których wspominaliśmy wyżej, starały się osłodzić nieszczęśliwym ich cierpieniem, dbały o ich wygodę i ułatwiała stosunki z mia-

stem, z krewnymi i znajomymi, pośrednicząc we wzajemnem przesyłaniu listów.

Jak Krywoszejn, tak i d-r Homulicki zostawili z owych czasów po sobie bardzo dobrą pamięć.

Ciężkie egzamina w gimnazjum już dobiegały do końca. Czuwał wciąż nad nimi dobry duch kuratora, osłaniając od możliwej katastrofy, którą ustawiczny ubytek uczniów mógł łatwo wywołać. W ostatnich paru tygodniach ubytek ten zaznaczył się tak silnie, iż zaledwie 15 uczniów do końca egzaminów dotrwało.

O nieobecności uczniów wiedziała tylko szkoła. Dzięki też taktowi dyrekcji, ulegającej wpływowi kuratora i wyrozumiałości nauczycieli, egzamina ukończyli się szczęśliwie. Rozdano promocje i matury, pozostawiając wielu nieobecnych uczniów w tychże samych klasach.

Zamknięcie tego ciężkiego roku szkolnego odbyło się pomyślnie, przy zachowaniu zwykłych formalności; personel nauczycielski, składający się już głównie z elementu miejscowego, gdyż i nie lubiany przez uczniów Wasiljew już nie był w Mińsku, odetchnął swobodniej, jak po przebyciu groźnego niebezpieczeństwa. Każdy jednak z nauczycieli rozumiał dobrze, iż do tych klas gimnazjalnych, w których część życia spędził, już więcej nie wróci... Nie zająrzy do tego szkolnego gmachu, do którego przez lat tyle deptał, i nie ujrzy tych malców, tej młodzieży, do której przywykł i którą kształcił...

Młodzi świeżo przybyli nauczyciele z mniejszym się żalem ze szkołą mińską żegnali, przejęci troską o byt własny wobec łamiącej się kariery pedagogicznej, ale starszy element pedagogów, który się już zrosł z tą

szkołą i z tą dziatwą, opuszczał gimnazjum ze smutkiem głębokim.

Szablowski ze szczerym bólem notuje tę chwilę w swym pamiętniku i goni myślą swych wychowañców, tak dziś rozproszonych po lasach, więzieniach, złamanych i wykołejonych... I stary nauczyciel, zapominając o własnym bycie, drży o los i przyszłość swych „kochanych chłopców“.

Z rozkazu Murawjewa nie dozwolono jednak uczniom rozjechać się na wieś bez wydania władzy przez rodziców lub opiekunów „rozpiski“, to jest piśmiennego pokwitowania z przyjęcia ze szkoły synów lub wychowañców i zobowiązania, pod karą od 100 do 300 rs., iż wrócą na czas do gimnazjum i w powstaniu udziału nie wezmą. Każda więc rodzina musiała osobiście zjawiać się do Mińska i wydawać „rozpiskę“, zabierając dzieci. Ze wzdęgu na ówczesne trudności w podróży, na paszporta i roгатki, — był to dla ojców i opiekunów kłopot i koszt niemały. Same wzięcie paszportu na przejazd do miasta połączone było z wielu przykrościami i sporo pochłaniało czasu.

Niemало też kłopotów było i w jesieni, gdy któryś z uczniów z powodu choroby lub innych okoliczności nie mógł się stawić na czas do szkoły. Trzeba się było wylegitymować z powodów i przyczyn opóźnienia.

Już w czasie wakacji poczęto reformować szkołę, nowe zaprowadzając w niej zmiany. Szło głównie o wyzwolenie szkoły z pod wpływu ziemianstwa polskiego, który zdawał się najbardziej niepokoić ówczesne administracyjne władze. Ślady tego spotykają się w roczni-

kach i sprawozdaniach szkolnych z owego czasu. Honorowy kurator, Tomasz Narkiewicz-Jodko, został usunięty od stanowiska, jako polak o wpływie szkodliwym.

Gimnazjum miało być czysto-rosyjską, rządową instytucją. Chciano też jednym zamachem usunąć wszystkich nauczycieli polaków, ale sprawa ta, wobec braku zastępców rosjan, spore przedstawiała trudności. Dając więc dymisję wszystkim, zatrzymano jednak do czasu paru nauczycieli polaków, uważanych za bardziej pracomysłnych.

W r. 1864 w całym wileńskim okręgu naukowym nie było już ani jednego polaka. Dawny serdeczny, patriarchalny niemal stosunek, łączący nauczycieli z młodzieżą, znikł ze szkoły niepowrotnie. Zimny chłód, surowość i bezwzględność nowych pedagogów przeważała i odpychała dziatwę, budząc w niej ku tym obcym uczucie niechęci.

Język polski został zupełnie wyrugowany z gimnazjum. Nie wolno go było używać uczniom w rozmowie z sobą, ani w gmachu szkolnym, ani na ulicy. Każdy wykrzyknik polski, wyrrywający się z ust dziecka, podlegał karze. Były nawet wypadki wydalania z gimnazjum. Dla dziatwy, przywykłej do polskiej mowy w domu, straszne to sprawiało męczarnie.

Wszystkie też książki i druki polskie zostały doszczętnie usunięte z gimnazjum. Powołany na kapelana przez władze, słynny renegat ks. Sęczykowski, począł wykładać religię katolicką w języku rosyjskim i na ten język tłómaczył katechizm oraz modlitewnik, zwany Złotym Ołtarzykiem i rozdawał uczniom.

Człowiek ten był przez lat kilka kapelanem, wpajającym w młodzież zasady wiary i moralności!..

W r. 1869, gdy takich Sęczykowskich, w mętach politycznego i religijnego chaosu, namnożyło się wielu, — znalazł się w roli proboszcza na Złotej-Górze ks. Zausziński, takiż, acz mniej szkodliwy odszczepieniec, który w dniu 15 maja miał pierwszą Mszę dla uczniów w języku rosyjskim. Próba ta jednak, pomimo przymusu, wywieranego na szkolną młodzież, — nie dała pożądaných rezultatów i zaniechaną być musiała.

Takie to nastąpiły stosunki po 1863 r. Istniejąca przy gimnazjum szkoła geometrów, zwana pospolicie „komorniczą“, zamknięta zupełnie została w 1864 roku. Uważaną bowiem była za wciąż fermentującą, a mało lojalną.

Gmach gimnazjalny uległ też wielu przeróbkom. Wskutek skasowania szkoły geometrów i pensjonatu szlacheckiego, lokale jego znacznie się rozszerzyły. W miejscu pensjonatu urządzone zostały mieszkania dla dyrekcji szkolnej.

Ale liczba uczniów, wynosząca przed 1863 rokiem przeszło 600, — spadła po reformie szkolnej do 240. Cyfra ta, wahając się nieco, przetrwała do 1870 r., w którym urzędowa liczba uczniów wynosi 304.

Po 1863 r. w gimnazjum mińskim nowy porządek rzeczy zapanował zupełnie. Wszystko to już było obce, inne... Wspomnienia przeszłości rozwiewały się jak dymy w powietrzu... Dawna szkoła pojezuicka po raz szósty zmieniała swe oblicze i w nową wstępowała fazę.

Ileż to w niej się kształciło pokoleń!.. Pamięć przedpowstaniowych czasów zachowała się jeszcze w sercach drobnej garstki starców, uczniów dawnej szkoły

mińskiej. Nosząc ją ze czcią, — pragnęliby przekazać wnukom, dla których ta niedawna przeszłość Mińska i jego szkoły — jest prawie zupełnie obcą.

Mińsk też dzisiejszy i ówczesny, to dwa miasta odmiennego typu i charakteru. Obecny dziś porostem pokryte miasto, już innym nasiąkłe jest duchem. Element polski ginie tu niemal wśród innych narodowości. Rozrośli i z bogaceni żydzi, szwargocząc skażoną mową rosyjską, zalewają miasto, kłaniając się nowym, silniejszym bogom. Tworzą oni nowy całkiem typ, różniący się wielce od typu swych dziadów.

Dawne stare świątynie znikły z horyzontu. W kościele i klasztorze Dominikańskim mieszczą się koszary, u Bernardynów — archiwa i remizy straży ogniowej, u Benedyktynów — zakonnice prawosławne i cerkiew w miejscu kościoła. Nazwy ulic zupełnej też uległy zmianie. Przypominamy je tym młodszy, które je dziś deptać i deptać potem będą.

Ulica Franciszkańska, pryncypalna w owych czasach, biorąc swą nazwę od kościoła, dawno już nieistniejącego, Franciszkanów, w dolnej części miasta, ku Niemiziu, — od 1864 r. zowie się ulicą Gubernatorską. Ulica Zborowa, bieżąca od placu Katedralnego ku więzieniu miastowemu, tak zwana od Kalwińskiego Zboru, który tam istniał w XVII stuleciu, — dziś się nazywa Preobrażeńską. Przeciwległa zaś tej, wiodąca od tegoż placu w dół, ku Świsłoczy, dawna ulica Wołoska, — obecnie mianuje się Kreszczeńską.

Ulica Dominikańska, nosząca swą nazwę od byłego kościoła Dominikanów, — przechrzczoną została na Pe-

tropawłowską. Ulica zaś Felicjańska, idąca około starej polskiej instytucji, Dobroczynnością zwanej, — nosi dziś nazwę Bogodzielnej.

Podobnej przemianie nazw uległa i większość drobniejszych arterji miasta, których starodawne miano ginie już zupełnie w niepamięci ludzkiej...

Powstające w nowych dzielnicach ulice noszą już nazwy inne, charakterystycznie malując nową epokę.

Pod obecną powłoką trudno rozpoznać Mińsk dawny, ale stare nazwy i pamiątki archeologiczne znać należy i nie dać im zagać bezpowrotnie.

Z. Kowalewska.

1912 r. kwietnia 21 dn.

Bakszty.

WYDAWNICTWA KSIĘGARNI JÓZEFA ZAWADZKIEGO

W WILNIE:

AUGUSTYN ŚW. Wyznania. Przekład z łacińskiego Michała-Bohusza Szyski. Wydanie nowe przejrzane i poprawione przez ks. A. Miłkowskiego, 1911.	1 —
GUIBERT J. Wiara a nauki przyrodnicze. Tłómaczenie wolne z francuskiego. 1909. str. 224, papier zwy- czajny, broszur. 1.20, w oprawie 1.60, papier weli- nowy broszur. 1.50, w ozdobnej oprawie	2 —
IMMORTELE SŁOWACKIEGO. Rysunki zdobnicze F. Rusz- czyca. 1910. str. 145. Broszurow. 1.40, w ozdobnej oprawie	2 —
Na papierze czerpanym 2 rb., w oprawie	2 50
KAŁANTAR A. Popularny podręcznik gospodarstwa mlecz- nego. Mleko i produkty mleczne w mniejszem i średniem gospodarstwie folwarcznem. Z 85 ry- sunkami w tekście. Przekład z rosyjskiego Nap. Rouby. 1906. str. 115	— 50
KONTROLA UDOJU MLEKA. W kartonie	— 25
KOWALEWSKA Z. Ze wspomnień wygnańca Apolinarego Świętorzeckiego z roku 1863 z 87 rycinami w tek- ście. Wilno 1912. Wyd. drugie przejrzane i popra- wione. str. 262	1 80 2 25
LEROU-ALLAIS J. Jak uświadomiłam swoje córki o roz- woju kobiety i o macierzyństwie. Z francuskiego przełożyła E. Węstawka. Z przedmową D-ra Po- raka. 1909 r. str. 69	— 35
TURSKI M. Hodowanie drzew leśnych. Przełożył z 6-go rosyjskiego, znacznie pomnoż. wyd., M. Ostrowski, technik leśny. 1907. str. 105.	— 50
WILNO z przed stu lat. 21 akwarel sępią Smuglewicza. Wydawnictwo ozdobne pod artystycznym kierow- nictwem F. Ruszczyca.	3 —

Wkrótce się ukazą:

GUIBERT J. Początki (Les origines). Tłómaczenie z franc.	— —
ZAWADZKA W. Kucharka Litewska. Wydanie jedenaste przejrzane i poprawione brosz.	1 50
opraw. w karton	1 70
„ w płótno	2 —